Nr. 26.

Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 29 czerwca 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

Korzeniowski w obec krytyki paryskiéj.

W skutek rozprawy p. Winklera o Korzeniowskim któréj druk w przeszłym numerze „Tygodnika" ukończyliśmy, odbieramy od jednego z najznakomitszych i najzasłużeńszych obywateli naszego Księztwa uwagi nad krytyką p. Klaczki spisane równo z pojawieniem się jéj w „Wiadomościach polskich" za rok 1857. — Artykuł ten, który dotychczas spoczywał w tece autora, ogłaszamy tym chętniéj, iż jest on nowym przyczynkiem oczyszczającym pamięć śp. Józefa Korzeniowskiego z niegodnych zarzutów, które swego czasu tak wiele złego sprawiły.

* * *

Zgadzamy się na wstęp rozprawy pod tytułem „Przegląd piśmiennictwa" w Nr. 2 et seq. Wiadomości polskich umieszczonéj.

Zarówno z recenzentem czyli autorem owéj rozprawy, ubolewamy nad dążnością niwellacyjną w sferze sztuki i życzylibyśmy, aby owa dążność zrównania ograniczała się na dziedzinie socjalnéj. Lecz jestże taki rozdział między praktyką życia a objawem ducha w sferze sztuki możebnym, jak sobie recenzent życzy? Zdaje nam się raczéj — i historja wszędzie to stwierdza — że autorowie i wszelkiego rodzaju artyści nie są czém inném jak tylko kwiatem swojego czasu. Pojedyńcze geniusze czasem o krok naprzód przed ogół wyskakują i są dla tego wieszczami przyszłości, lecz ich duch także zakorzeniony jest jeszcze, że tak rzekę, w obecności, i oni są tylko dziećmi swojego czasu. Utrzymujemy zatém, że dążność jakiego czasu, czyli myśl przewodnicząca, objawia się i objawiać się musi w każdéj sferze zarazem. Życzenie szan. recenzenta, aby przy dzisiejszéj dążności do niwellacji, jedynie literatura i w ogóle sztuka się ochroniła od téj dążności, zdaje nam się niemożebném.

Zgadzamy się daléj na to, gdy recenzent mówi: „Żądać lub tylko dozwolić tego, aby sztuka przestała być idealną, natchnioną itd. — nie jestże to nietylko ubliżyć jéj godności, ale odebrać jéj wszelką rację bytu." Zapewne że tak jest. Ale gdzie, kto i kiedy śmiał się targnąć na odebranie sztuce idealności? Recenzent zdaje się tylko nieprzypuszczać, że ideały same się zmieniają. Ideał, absolutnie biorąc, może być tylko jeden wiecznie i na całym świecie; ideał ten jest poprostu wyobrażeniem Boga, czyli najwyższéj pod każdym względem Doskonałości. Lecz ta doskonałość będąc bez granic, nie może być przez ludzi objętą w swéj całości, i dla tego to cząstkowo tylko wychyla swe oblicze i coraz to nowe strony przedstawia. Ztąd to można powiedzieć: ideały się zmieniają, to jest, że coraz nowe przymioty ideału do uznania i czasowego nad innemi górowania przychodzą. To pewna, że ludzkość nigdy bez ideału nie była, a sztuka zawsze tylko kapłanką każdorazowego ideału ludzkości się okazuje.

Ideały były już rozmaite na świecie; i tak Grecja swój ideał w piękności, w sile położyła, ztąd bohaterowie: Herakles, Achilles, lub Venus i Apollo są wcieleniem greckich ideałów. U Rzymian Virtus była ideałem, czyli męztwo z cnotą i miłością ojczyzny połączone. Świat chrześcijański poświęcenie, miłość Boga i bliźniego, cierpienie zidealizował. Prócz tych ogólnych, całym epokom przyświecających ideałów, można dopatrzeć się w każdym narodzie, w każdém prawie stuleciu, pewnemu odmiennemu wyobrażeniu o ideale, czyli raczéj jednéj bardziéj na jaw występującéj stronie ogólnego ideału. Czas encyklopedystów np. stworzył ideał stanu natury i równości ludzi. Polska wyrobiła sobie ideał z miłości ojczyzny z cnotą i rycerskiém poświęceniem połączonéj i w Kościuszce najbliżéj zrealizowanym go ujrzała. Czas obecny, na który tak namiętnie powstajemy, czas obrzydliwego materjalizmu, czyż on sam byłby bez ideału pozostał? O! tak sądzić, byłoby powątpiewaniem o Bogu i ludzkości. Jakoż głębiéj się

wpatrując w ten nieznany dawniéj ruch materjalnego życia, nie można być tak niesprawiedliwym, aby nie uznać, iż jest także wysoko moralna myśl, która przyświeca téj olbrzymiéj pracy mrowiska ludzkiego. Tą myślą czyli ideałem wieku, jest właśnie praca. Ona to uszlachetnia ową niepohamowaną dziś dążność do zysków i materjalnych korzyści, które o tyle tylko za godziwe uznane być mogą, o ile własnym trudem, długiem ograniczaniem swych potrzeb, słowem, potem czoła zyskane zostały.

Otóż jak dla praktycznego życia zasadą moralną stała się praca, tak i w dziedzinie sztuki praca zidealizować się winna, i dzieła sztuki z jednéj strony apoteozę pracy przedstawiać winny, z drugiéj strony znów idąc za dążnością niwellacyjną czasu, (która to dążność jest zarazem córą przeszłego wieku zrównania ludzi, jakotéż i saméjże idei pracy) — winna sztuka dziś się spopularyzować i stać się użyteczną. Utylitarność musi być dziś jednym z warunków sztuki. Żałujemy, jeżeli to estetykom nie przypada do gustu, jeżeli poeci wstręt uczują do tak barbarzyńskiéj definicji, ale sądzimy, iż jak ideały, tak i definicje sztuki saméj z czasem zmieniać się muszą. — Z Korzeniowskim, Kraszewskim, Cieszkowskim itd. przeciw recenzentowi trzymamy, iż romans w rzeczy saméj jest nowym, naszemu wiekowi właściwym rodzajem poezji, bo choć się pojawiał i dawniéj, jednak nie przewodniczył literaturze i nie objął jak dziś wszystkich rodzajów poezji w sobie. Użyteczność téż jego, zaprzeczoną przez recenzenta, śmiemy mu napowrót windykować — i właśnie w téj użyteczności jego, uznajemy go za odpowiedni dzisiejszemu czasowi rodzaj piśmiennictwa.

Jak Schiller rozpaczał nad zgasłą przeszłością poezji i Grecji: „die Ideale“ i „die Götter Griechenlands“ — tak i my do starego jeszcze życia przywykli, którzyśmy się jeszcze przysłuchiwali lutniom wielkich wieszczów, rozpaczać możemy z recenzentem, że te ideały znikły niepowrotnie, — ale nie sądzimy z nim, aby one nowemi zastąpione nie zostały. My téj nowości już może pokochać i poznać dostatecznie nie umiemy, lecz mamy ufność, iż i teraz Bóg ludzkości bez steru nie zostawi, i uznajemy już za ideał obecnego czasu przedewszystkiém pracę, która może to samo dziś znaczyć ma, czém w wiekach średnich była modlitwa.

Z tego wszystkiego wynika, iż stoimy zupełnie na inném stanowisku z recenzentem. Jako gałęź odcięta, choć jeszcze zielona, ostatnie swoje soki zużywa lecz z pnia już nowych nie przybiera, tak emigracja nasza żyje tylko wspomnieniem przeszłości; Bogi domowe ze sobą zabrała i wierną im została, lecz nie może pojąć, że naród co żył tymczasem, kiedy ona w mumię się zamieniła, innych formuł nabożeństwa, że tak powiem, używać zaczął i przemienił obyczaje obrządku. Ztąd te niesprawiedliwe krzyki odstępstwa. Szanowny recenzent, mimo niezaprzeczonéj genialności i bystrości, nie obronił się od myśli, które ze stanowiska swego emigracyjnego mu się nasuwały. Z tego ciasnego i zestarzałego zbiornika myśli czerpiąc i logicznie snując nić krytyki do ostateczności, dochodzi do tego rezultatu, iż Korzeniowski z powodu romansu Krewni za zdrajcę ojczyzny poprostu uważany być winien. Recenzent, jak mówiliśmy, jest emigrantem i dla tego nie czynimy mu zarzutu, iż dzieło sztuki od razu ze stanowiska narodowości podchwytuje, kiedy dzieło sztuki przedewszystkiém niezależnie samo w sobie ocenionem by być winno. Przystajemy więc i na to stanowisko, — lecz z niego samego sądzimy, iż inaczéj autor Krewnych nam się przedstawi.

Wiemy o głównym bohaterze powieści Ignacym Zabuskim, iż jest pełen hartu i uczucia obowiązku dobrowolnie schodzi do niższych warstw społeczeństwa, by wśród nich niezależne wyrobić sobie stanowisko, przebywa odważnie ciernistą drogę życia, mężnie znosi wszystkie trudy i mozoły i wreszcie po znojnéj a krwawéj walce dostępuje celu swych życzeń i zabiegów. Eugeniusz, brat jego, wychowany w miękkości, upada zupełnie moralnie, aż w końcu rehabilituje się przez służbę wojskową. Stan ten, mówi sam autor, uczy go pogardzać wykwintnemi wygodami życia, wytrzymać wytrwale w jednostajnéj pracy, i opierać się na własnéj sile, czego mu właśnie brakowało. Z tego przedstawienia charakterów dwóch braci, bohaterów powieści, łatwo jest już domyślić się, że Korzeniowskiego celem było apoteozę wytrwałéj pracy przedstawić, i trzeba mieć nieszczęsne uprzedzenia, aby nie uznać, iż autor obrał sobie temat zupełnie czasowi naszemu w ogóle odpowiedni, pod względem zaś narodowym, przeważnie patrjotyczny.

Czemże pisarz może więcéj patrjotyzm swój okazać, jak karceniem wad rodowych a przedstawianiem cnót, które są konieczne do nabycia? Recenzent w Paryżu żyjący, wśród narodu pracowitego, oszczędnego, goniącego za zyskiem, mając ciągle przed oczyma tę walkę współubiegania się i występki z chciwości powstające (co jest złém nieodstępném czasów materjalizmu), sądzi, że i w Polsce wyszumiał dawny duch szlacheckiéj niedbałości, mrzonki idealistycznéj lekkomyślności, bezskutecznych zapałów, hulanki, intryg, próżności, przepychu, fałszywéj ambicji i t. p. — Recenzent sądzi, że taki Ignacy, który ze szlachcica staje się stolarzem, to nie żaden bohater, ale bardzo prosta codzienna figura; sądzi, że ów upadły Eugenjusz, nie wstydzący się munduru prostego żołdaka, na drodze wszędzie się znajdzie. — Otóż myli się Szan. Recenzent bardzo w swém zdaniu, a każdy z nas żyjący w kraju przyznać musi, że to nie są bynajmniéj codzienne postacie, ale owszém za ideały pod pewnym względem przez autora narodowi przedstawione być mogły. — Iluż mamy takich mężów, co własną siłą zdobyli sobie pozycję; — gdzież znajdziemy ową mozolną pracę, wytrwałość i sumienność, którą szczycą się narody zachodnie, która ich cywilizację tak daleko podniosła?

Mogłyby te charaktery być wznioślejsze, jak są przedstawione — w tém zgodzim się z Recenzentem. Mógłby Ignacy, uzyskawszy tak piękne stanowisko, oddać się czynnie dobru swych bliźnich niżéj od niego stojących i tém podobnie. Z tego opuszczenia jednakże wyraźnego zarzutu autorowi czynić nie można. Nie wszystko da się naraz powiedzieć! Tu sobie autor zamierzył tylko przedstawić, jak dalece praca, znoje, trudy uszlachetniają indywidualnego człowieka, — chciał zaś to przedewszystkiém Polakom pokazać, bo ze wszystkich narodów (chyba Turków wyjąwszy) oni najmniéj jeszcze o tém wyobrażenia mają. Tego celu, zdaje się, dopiął autor. Czekajmy za następnemi pracami, a nie przesądzajmy; — może w inném dziele okaże, iż na téj indywidualnéj powadze, którą praca człowiekowi nadaje, jeszcze poprzestać nie trzeba.

To jest, co w krótkości na ogólny zarzut Recenzenta odpowiedzieć za powinność uważaliśmy. Mamy tylko parę jeszcze uwag na pojedyńcze myśli do zwrócenia

Recenzent nie chce pożegnać tych „marzeń“, które są naszą przeszłością, które są naszą męką i zasługą, naszym krzyżem i odkupieniem, jak pięknie mówi. — Z historji, ze świętéj karty pamiątek wykluczać tych marzeń, zaiste nie godzi się! — na to każdy Polak przystanie. Ale czyli daléj „marzyć“ po dawnemu, — na to już zgody nie masz i owszém zdania może bardzo są podzielone. Że emigracja po dawnemu marzy, to jest do wytłumaczenia i ani się dziwić temu! — Ale czy kraj może się nadal marzeniom, illuzjom oddawać? ciągle oczekiwać jakiegoś cudu, jakiéjś obcéj pomocy,

jakiegoś Zbawiciela? — Point de rêveries! powiedział wprawdzie car Alexander, ale pamiętajmy, że często najlepsze nauki od największych nieprzyjaciół naszych wychodzą; — bądźmy wreszcie tyle sprawiedliwi i niepodlegli, aby uznać, iż najlepszy patrjota może dziś z przekonaniem tak samo wyrzec, — a więc i autora „Krewnych“ nie potępiajmy od razu, że tę myśl rozpowszechnia. — Wszakżeż dawno powiedziano: Una salus victis, nullam sperare salutem! — Czy ta maxyma, wychodząca prawie na jedno z mottem „Point de rêveries“, nie byłaby dla nas skuteczniejszą od odwrotnéj, od téj lekkomyślnéj, na niczém opartéj nadziei tylko, którą w śpiewie: „Jeszcze Polska nie zginęła“, od tylu pokoleń powtarzamy? — Myślmy nad tém — bo to pono kwestja kapitalna, od któréj cała przyszłość zależy!! —

Oburzenie Recenzenta na listy Eugenjusza z obozu rosyjskiego pisane, w ogóle na jego wstąpienie w służbę wrogów, — jest także ze stanowiska emigracyjnego, protestującego przeciwko całemu biegowi wypadków od czasu upadku niepodległości narodu, naturalne. Z tém wszystkiém ze stanowiska krajowca, można na to najprzód odpowiedzieć, iż dobrowolnie wstępując do wojska rosyjskiego, z wiedzą i celem pewnym, niekoniecznie Moskalem się stać trzeba. Daléj jednak trzeba wyznać, iż chociaż Polacy mają najmocniejsze powody nienawidzenia rządu rosyjskiego, to jednak bynajmniéj nienawiści téj na cały naród rozciągać nie trzeba i nie można. Nad narodem rosyjskim, bratnim naszym narodem, jedynie ubolewać możemy, iż przez ciemięztwo tak dalece moralnie podupadł, iż nie czuje swego spodlenia. Mimo tego, gdy porównamy ten naród z innymi europejskiemi narodami, w nim jeszcze więcéj jak gdziekolwiek pierwotnych uczuć szlachetnych i sympatji dla nas znajdziemy. Losy nas, tak się zdaje, nierozłącznie spoiły, jest więc powinnością nawet, aby się z tym narodem pobratać i wciągnąć go w koło myśli zachodniéj cywilizacji. — Jakakolwiek przyszłość Europę a nas w szczególności czeka, to prawie jest do przepowiedzenia stanowczo, iż Polska na Rosji, Rosja na Polsce opierać się muszą; — każda z nich z osobna nie oprze się żywiołom nieprzyjaznym, które ich otaczają. — Recenzent przypomina Korzeniowskiemu ciągle „Karpackich Górali“ i wyrzuca mu teraz haniebne odstępstwo. Ale Rewizorczuk to nie ideał dla narodu do naśladowania, bo całe jego bohaterstwo doprowadza do krzyża męczeńskiego. — Naród cały takiemi idealnemi popędami, które skutku nie osiągają, nie może się dać porywać; naród nie może rzucać się na nieobrachowane przedsięwzięcia, — ale czyny jego koniecznie utylitarność i pewność niejaką skutku mieć muszą, a to tém bardziéj, gdy szlachetnemi uniesieniami tyle razy już poruszany, zawsze smutnego tylko doznał zawodu! — Dla dusz ognistych i wybranych Rewizorczuk mógł być ideałem i wystawienie tego charakteru w dramacie, więc tylko dla grona mniejszego sympatyzujących umysłów z autorem, nastąpić musiało. Dla mas jednakowoż niebezpiecznym i szkodliwym byłby wzór taki; dla mas trzeba wzoru o wiele więcéj zbliżonego do codziennego człowieka, trzeba wzoru, jaki tylko w romansie dać można, bo romans, jak Recenzent powiada, jest poetyczném uświęceniem codzienności. — Otóż takim, nie bohaterem, nie półbogiem, to prawda — ale zawsze człowiekiem wyższym nad pospolitość, jest Ignacy Korzeniowskiego w Krewnych, człowiek charakteru dość powszechnego już na zachodzie, w Polsce jednakże prawie ideałem. Jakże można Korzeniowskiemu zarzucać, że go idealniejszym nie zrobił? Na to Korzeniowski odpowiedzieć może: „Szan. Recenzencie, chętnie chciałbym mieć samych Apostołów i Chrystusów w Polsce, — ale tymczasem byłbym szczęśliwym, gdybym znalazł między dziesięcioma jednego człowieka wartości moralnéj, jaką nadałem Ignacemu!“

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

IV. Nieczyste dusze.

Wszystko to przekonywało ją, że tu ktoś pamiętał o niéj. Nie trudno jéj było zgadnąć kto. — Drobne te oznaki pamięci chwyciły ją za serce i mile rozigrały jéj marzenia. — Stała czas jakiś patrząc na bukiet z upodobaniem, potém wzięła go drżącą ręką i podniosła do ust.

— Jaki on dobry — szepnęła — jak pamiętał o mnie, choć byłam tak nielitościwą. —

I przycisnęła znowu kwiaty do ust. Wtém usłyszała szelest, zlękła się, i zanim się obejrzeć zdołała Zenon klęczał już u nóg jéj i namiętnemi pocałunkami okrywał jéj rękę. — Stało się to tak nagle, że Anetka w pierwszéj chwili odurzona nie broniła się, dopiéro opamiętawszy się nieco wyrwała rękę z rąk jego i oglądając się w koło przestraszona, zawołała z oburzeniem:

— Co pan robisz? —

Zenon, znawca kobiét, dostrzegł, że oburzenie wynikało raczéj z obawy, czy kto ich nie podpatrzył i to dodało mu odwagi do dalszych wyznań. — Uspokoiwszy jéj obawy, począł namiętnemi słowami spowiadać się jéj ze swojéj miłości, z pierwszego wrażenia, jakiego doznał na jéj widok.

— Ja nie wiem, co mi jest — mówił daléj — ale od tego czasu czuję, że nie należę do siebie. Nie mogę myśleć o niczém, tylko o pani. A kiedym się dowiedział, że masz zostać żoną innego, odtąd straciłem spokój, sen; rozpacz i zazdrość męczą mnie okropnie. —

Kto zna urok takich wyznań nie będzie się dziwił, że Anetce zawróciły głowę, że nie mogła odbiegnąć od człowieka, który jéj takie rzeczy mówił. Tak miło jest słyszeć, że się jest kochanym. To też Anetka nie odchodziła, ale ze spuszczonemi ku ziemi oczyma stała i płonąc rumieńcem słuchała słów Zenona.

— Milczysz pani, nie zaprzeczasz? A więc prawdą jest co mi mówił August, że cię za parę tygodni poślubi. — Ach, ja nie przeżyję tego. —

— Pan August za wcześnie mówił panu o tém małżeństwie. Ja jeszcze nic nie przyrzekłam mu. —

— O dzięki ci pani za to słowo — zawołał Zenon biorąc ją za rękę.

— Ale skoro ojciec mój wróci i życzyć sobie będzie tego związku — to wtedy —

— Nie mów pani tego. Nie mogę sobie teraz wyobrazić, jak mógłbym żyć i nie widzieć ciebie. —

— Nie widzieć? Dla czego? — spytała naiwnie Anetka. —

— August nie długo zdaje się porzuci nas. Nie kontent jest z posady u nas; a przytém z matką moją pogodzić się nie mogą. — Dziś mi wspominał, że myśli wrócić do Wiednia. —

— A mnie nic jeszcze o tém nie mówił — rzekła Anetka i zdawała się być zasmuconą tą wiadomością. —

W téj chwili coś zaszeleściało w krzakach. Anetka strwożona chwyciła za rękę Zenona. —

— Na Boga, ktoś tu idzie — gdyby nas tak zastał — byłabym zgubioną.

Szelest zbliżał się. Między drzewami mignęła się postać mężczyzny. — Położenie Anetki było w istocie kłopotliwe. Rozmowa z Zenonem sam na sam wyglądała na schadzkę. —

— Ach, jeżeli mnie tu kto zobaczy. —

— To pewnie gajowy. —

— Nie, nie — to pewnie kościelny — może szukają mnie. Boże, co ja zrobię.

— Ukryjmy się za tę leszczynę — nie znajdą nas i pójdą. — Chodź pani. —

— Wziął ją za rękę i drżącą, pomięszaną pociągnął za sobą. — Chwila niebezpieczeństwa ulatwiła zbliżenie — Anetka ściskała z przestrachu rękę Zenona, a on tulił ją do siebie i uspokajał. — Anetka nie uważała ani jednego, ani drugiego, bo cała jéj uwaga była w oczach, a oczy niespokojnie śledziły przez liście człowieka idącego przez las. —

— Idzie w tę stronę — szepnęła strwożona.

— Nie zobaczy nas. —

— Kto to być może. To nie gajowy. — Pochyliła się naprzód, by lepiéj przypatrzyć się zbliżającemu się człowiekowi. Nagle zbladła. — To August — wyszeptała blademi ustami i zemdlona upadła w ramiona Zenona. —

August tymczasem w poważném zamyśleniu zbliżył się ku temu miejscu, w którém przed chwilą znajdował się Zenon z Anetką. — Zdziwiły go porozrzucane kwiaty, zwiędłe bukiety i książka leżąca na ziemi. — Podniósł ją i przewracając kartki usiadł na darniowéj kanapce. —

Omdlenie Anetki trwało chwilę. Otwarła oczy i spojrzawszy na pochylonego nad nią Zenona, chciała go o coś spytać. — Niemym giestem nakazał jéj milczenie i pocałunkiem zamknął jéj usta. — Bliskość Augusta nie pozwoliła jéj wyrazić swego oburzenia za tę śmiałość; dziwny ten zbieg okoliczności pomógł Zenonowi do zbliżenia się ku niéj a jéj odjął możność obrony. — Bezsilna znosić musiała w milczeniu jego ściskania ręki i pocałunki. — Trwoga nakazywała jéj milczeć. —

— Ta sytuacja trwała dość długo, gdyż August zaczytawszy się, siedział czas długi pod dębem. Zmierzchać się już zaczynało, kiedy złożywszy książkę wstał i odszedł. —

Anetka, skoro tylko kroki jego ucichły, zerwała się i odsunęła od Zenona. Była cała rozpalona, zmęczona.

— Panie, to niegodnie — zawołała — korzystałeś z fatalnego położenia mego w sposób nieuczciwy. —

— To było przeznaczenie — odparł Zenon. — Obecność tego człowieka zbliżyła nas do siebie. Nie miej żalu do mnie. Czyż mogłem nie zapomnieć się będąc tak blisko ciebie? —

Wziął ją za rękę i przytulił znowu do siebie. —

— Boże, co ja robię, co ja robię — szeptała rozpacznie. — Już ciemno — chodźmy. —

— Odprowadzę panią. —

Podał jéj ramię i szli przez las. Gdy wchodzili na drogę spotkali Fingera, który im się nisko ukłonił, a minąwszy ich, obejrzał się. —

Koło plebanji Anetka wysunęła rękę swoją i rzekła:

— Wróć pan już — dobranoc —

— Powiedz pani do widzenia, jeżeli chcesz, żebym odszedł. —

— Nie, nie — to być nie może. —

Wyrwała się z rąk jego i uciekała na plebanję.

Stanąwszy pod oknem usłyszała w pokoju głos Augusta i księdza proboszcza. — Nie miała odwagi wejść do pokoju i poszła do kuchni do Marty. — Tu dowiedziała się, że ojciec jéj wrócił z odpustu, że z księdzem i Augustem długą miał po powrocie rozmowę, po któréj strudzony niebawem spać się położył. — Anetka korzystała z téj sposobności i poszła powitać go, by tym sposobem uwolnić się dziś od widzenia Augusta, któremu nie umiałaby była śmiało spojrzeć w oczy. — Zastała ojca już w łóżku; nie spał jednak. — Po czułém powitaniu kazał córce usiąść na łożku i rzekł do niéj:

— Pan Bóg pobłogosławił pielgrzymkę moją. Za powrotem dowiedziałem się tutaj o rzeczach, które mnie bardzo ucieszyły. — Pan August oświadczył się o ciebie. — Dziś prosił mnie o rękę twoją. Zezwoliłem pewny będąc, że i ty chętnie zgodzisz się na to, boś podobno tylko na moje ostatnie słowo czekała. — Prawda?

— Tak — odrzekła zamyślona. —

— Nie uwierzysz moje dziecię, jak cieszy mnie to małżeństwo. Zawsze bałem się o twój los; zdawało mi się, że ci grozi jakieś niebezpieczeństwo, że zły obrót weźmie twoje życie. — Matka twoja przed śmiercią także miała takie przeczucia. — Dzięki Bogu były one nieprawdziwe. Dziś jestem spokojny o ciebie i sam będę swobodniejszy. — Będę mógł teraz spełnić, com dawno ślubował. — W kaplicy Matki Boskiéj Częstochowskiéj powtórzyłem ten ślub, że skoro los twój się ustali, wstąpię do jakiego klasztoru za braciszka. — Człowiek za niejedno ma przeprosić Pana Boga, co się w życiu nabroiło. — Widocznie Matka Najświętsza wysłuchała mnie, gdy cię obdarza takim mężem. — Dałem mu już moje słowo, a ksiądz proboszcz w przyszłą niedzielę ogłosi zapowiedzi. — Musisz się bardzo cieszyć. — Jutro pogadamy jeszcze o tém. Dziś jestem znużony, potrzebuję snu. —

Pocałował ją w czoło i powiedział dobranoc. — Pocałowała go w rękę i odeszła. — Słowa ojca uspokoiły ją nieco, bo chaotycznym jéj myślom nadały pewny kierunek. — Gdyby jéj saméj zostawiono wolny wybór, wahałaby się, nie umiałaby się zdecydować, gdy tymczasem postanowienie ojca zdecydowało ją stanowczo. Rada była, że ktoś za nią postanowił — szła biernie za tém postanowieniem, nie pytając o radę własnych uczuć, które w téj chwili tak były pogmatwane, że nie umiałyby jéj dać żadnéj rady. — Posłuszeństwo córki stłumiło niepokoje kobiéty. —

3. Impedimenta matrimonji.

Jesteśmy znowu w mieszkaniu ks. Albina, który wróciwszy od pani Beaty z religijnéj konferencji, utonął w miękkim fotelu i z przymkniętemi oczami słuchał mowy stojącego przed nim Fingera. —

— Więc niema sposobu pozbycia się ztąd tego proboszcza? — pytał Finger. — W kaplicy już za ciasno wiernym, radziby przenieść się do kościoła; ale wraz z wielmożnym księdzem dobrodziejem. —

— Ha, cóż, kiedy proboszcz wręcz mi odmówił. — Dopóki on tu jest plebanem — dotąd wystarczy na obsłużenie swéj owczarni. — Tak mi wczoraj powiedział, gdym go prosił o urządzenie w kościele parafjalnym nabożeństwa „drabiny.“ —

— Że też to konsystorz w to nie wglądnie. Toż go podobno wzywano? —

— Tak, ale się wykręcił. — Nie było świadków. Nikt nie miał odwagi stanąć mu w oczy i powiedzieć prawdy. —

— Oj bieda, bieda, coraz gorzéj z tym proboszczem. Bo to nie dość, że daje zły przykład, ale jeszcze otacza się takiemi osobami jak n. p. ta siostrzenica.

— Więc sądzisz, że coś jest między niemi, mój poczciwy Finger — co?

— To niema wątpliwości. —

— Tak; ale trzebaby dowodów — dowodów —

— Możeby się i znalazły — rzekł Finger skrobiąc się po głowie. —

— Więc masz jakie dowody, że ksiądz proboszcz —

— To nie; ale że ta siostrzenica ma romanse, schadzki w lesie — to pewno. — I to taką dziewczynę ksiądz trzyma na plebanji. Czy to nie zgorszenie? —

— Więc widziałeś? — schadzki powiadasz? — Z kim? —

— I nasz dziedzic także się z nią widuje. — Spotkałem ich raz w lesie wieczorem. —

— Zgorszenie szerzy się jak zaraza. — Obowiązkiem naszym jako dobrych katolików jest przeszkodzić temu wszelkiemi siłami. — Ale do tego trzeba świadków; a skoro to będzie — to może gromada zdecyduje się na podanie prośby do konsystorza o usunięcie proboszcza, którego dom jest jaskinią zepsucia. Finger, tyś sprytny i poczciwy człowiek, tobieby łatwo było postarać się o takie dowody.

— O dowody byłoby nie trudno. Ale tu potrzeba jakiego głośnego skandalu, któryby całą wieś oburzył. Pod wpływem takiego wypadku nie trudnoby było o skargę do konsystorza, do któréj już wielu się nakłania. —

Dalszą rozmowę przerwało wejście Zenona. W twarzy młodego dziedzica widać było zakłopotanie i niezadowolnienie. —

— Chciałbym księże z tobą pomówić — rzekł i spojrzał na Fingera, którego obecność mu zawadzała. — Ksiądz dał znak Fingerowi, aby wyszedł. Odchodzącemu polecił jeszcze, aby pamiętał o powierzonéj mu sprawie jako prawy i dobry katolik. —

Gdy zostali sami — Zenon usiadł obok niego i rzekł:

— Powiedz mi księże, jakie jest prawo kościelne względem małżeństw mieszanych? Czy kościół pozwala na związki ślubne n. p. protestanta z katoliczką.

— Niestety — odrzekł ksiądz Albin pobożnie przewracając białka oczów — świat toleruje to nadużycie. Czy wiesz pan o podobnym wypadku? Możeby dało się zapobiedz, przeszkodzić. —

— Nasz proboszcz wydaje siostrzenicę swoją za protestanta.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołał ksiądz w świętém oburzeniu — on to śmie robić?— To już za daleko posunięta bezbożność. Może to bajka. —

— Zeszłéj niedzieli zapowiadał to małżeństwo z ambony.

— Wszak ją podobno wydaje za tego pana Augusta? —

— Właśnie. August jest protestantem. —

Ksiądz Albin aż podskoczył, tak go przestraszyła ta wiadomość.

— I nasza pani cierpiała heretyka w domu? —

— Nie wié o tém. — Ja jeden wiedziałem o tém — i proboszcz. —

— I broniłeś go pan przed matką i upierałeś się, żeby został tu u nas, kiedy sam widzisz, iż lud zgorszony jego ateuszostwem nie chciał pracować w fabryce, którą on prowadził. —

— Miałem powody. Zależało mi wiele na tém, aby został. Ale jeżeli postarasz się księże o przeszkodzenie temu małżeństwu, sam ci pomogę do pozbycia się ztąd Augusta —

— Toż obowiązkiem moim jako kapłana, jest użyć wszelkich sposobów do przeszkodzenia temu małżeństwu.

— A jak te sposoby nie pomogą? —

— Wielka jest moc Boża — odrzekł pokornie ksiądz Albin. —

Dla pokazania téj mocy boskiéj uważał ksiądz za najstósowniejsze wezwać najprzód Fingera do siebie. Po tajnéj konferencji z tymże wieść o małżeństwie siostrzenicy proboszcza z jakimś lutrem rozeszła się szybko po wsi. — W karczmie i chatach wieśniaczych i na polu tylko o tém mówiono. Wszyscy byli niesłychanie oburzeni. Nawet tacy, którzy dotąd trzymali stronę księdza proboszcza i chwalili jego nienaganne i poczciwe życie, wystąpili teraz przeciw niemu. - Rozumie się, że z ust do ust podawana wiadomość potworne przybrała rozmiary. Jedni mówili, że proboszcz nie mogąc już dłużéj trzymać siostrzenicy w domu, by nie okryć wstydem jéj i siebie, wydaje ją gwałtem za mąż. — Inni utrzymywali, że umyślnie wydaje ją za lutra, gdyż sam w duszy już się zlutrzył. Byli i tacy, którzy twierdzili, że jest misjonarzem luterskim, który pod szatą katolickiego księdza chce luterską wiarę zaprowadzić i znieść całkiém nabożeństwo do Najświętszéj Panny. — Słowem tysiączne brednie natworzono na ten temat a wszystkie miały na celu ostateczne potępienie proboszcza. Kursował nawet po wsi jakiś papier, niewiadomo przez kogo puszczony, na którym były wypisane różne nadużycia, jakich się ksiądz proboszcz miał dopuścić względem religji i moralności. — Papier ten był podpisany przez kilku starszych gminy, a reszta kładła pod tém znaki krzyża świętego. —

Na plebanji nic jeszcze o tém wszystkiém nie wiedziano. Czeladź proboszcza mało żyła z ludźmi ze wsi; poróżniła się ona z gromadą, gdyż nie zgadzała się z nią w ocenieniu księdza, którego znając z bliska, kochała i szanowała. — To też nic dziwnego, że nie podzielono się z ludźmi proboszcza tajemnicą. — Jeden tylko stary Majer dowiedział się o tém i to w sposób bardzo dla siebie pyzykry, — kiedy bowiem wypocząwszy po religijnéj pielgrzymce zjawił się znowu podług zwyczaju w kaplicy do pełnienia swoich obowiązków, ksiądz Albin oświadczył mu, że lubo z boleścią, musi go jednak wykreślić z bractwa drabiny cnót chrześcijańskich. Dla staruszka, któremu dewocja była jedyném zajęciem, jedyną przyjemnością — i jedyném prawie szczęściem — wiadomość ta była ciosem, który jak piorun spadł na niego nieprzygotowanie. Ksiądz przeraziwszy go w ten sposób, objaśnił potém, że ojciec, który córkę swoją wydaje za lutra, nie może mieć najmniejszego prawa do cnót chrześcijańskich. — Staruszek teraz dopiéro ze zdziwieniem dowiedział się, że go podeszli podstępnie, przysięgał na wszystkie świętości, że nic a nic nie wiedział, że August jest lutrem i zaklinał się, iż zerwie to małżeństwo, albo wyrzecze się córki, jeżeli nie uszanuje jego woli.

Ksiądz Albin czy nie dowierzał staruszkowi, czy też wątpił w jego powagę ojcowską — dość, że nakazał mu pod tym względem milczenie i tylko go zobowiązał, aby córkę posłał do niego do spowiedzi. —

— Ja jéj roztrząsnę sumienie — rzekł — a jeżeli głos religji nie przemówi do jéj serca — wtedy ty użyjesz powagi i groźby ojcowskiéj. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O języku i literaturze narodowéj.

Niech kto jak chce dowodzi, że naród nie jest dzieckiem, które można wychowywać podług upodobania; niech się jak chce korzy przed tym wielkim człowiekiem, którym jest gromada; ja mu wskażę Galicję. Wielki to człowiek, nie przeczę, gromada jednym duchem ożywiona, ale cóż z tego, kiedy rządy okuwają w kajdany nawet tego wielkiego człowieka i robią z niego co im się podoba. Dla tego obstaję uporczywie przy zdaniu mojém, gdzieindziéj wypowiedzianém, że zapobiegać ile możności zgubnym wpływom złego wychowania, jakie rządy dają narodom, jest główném zadaniem literatury narodowéj i świętym obowiązkiem tych, którzy ją uprawiają.

Galicja wybornie służyć może za przykład, czém się staje gromada, wielki człowiek, naród opuszczony przez tych, którzy głowę tego wielkiego człowieka stanowią; czém się staje naród, którego literatura z jakichbądź przyczyn zamrze? Jakoż, gdy w Warszawie mówiono i pisano we wszystkich gałęziach umiejętności po polsku, gdy na Litwie dojrzewała nowa epoka literatury, gdy nowe słownictwa do nauk ścisłych powstawać zaczęły, w Wilnie do chemji, w Krakowie do medycyny, gdy ogólne krzątanie się doszło do tego, że między innemi stworzono w Krakowie nową szkołę muzyki z szczeropolską terminologją, gdy w Poznańskiém literatura perjodyczna, ludowa coraz wyżéj się podnosiła, w Galicji, nieświadoméj tego całego ruchu, zniemczenie takie przybrało rozmiary, że po miastach mówiono prawie tylko po niemiecku, szlachta nie znała różnicy między językiem obcym a ojczystym, żadnego nie umiejąc gruntownie, chłop zaparł się czém jest, a kto choć parę lat przepędził w szkołach, tak się przejmował niemczyzną, że bez jéj pomocy nie umiał palców policzyć.

Zwycięzcy z pod Stoczka i Wawru z upadkiem sprawy rozbiegłszy się w kilkunastu po dworkach szlacheckich w Galicji, dźwiękiem narodowéj pieśni przypomnieli panu Jowialskiemu i jego synowi, panu szambelanowi, czém byli niegdyś i dali pierwszy popęd do rozbudzenia. Galicja drgnęła, rozbudziły się uczucia, ale nie na długo. Było życie, to prawda, ale nie było głowy, więc téż i o działaniu mowy być nie mogło.

Dopiéro gdy w roku 1848 nowe zastępy emigracji z Paryża przybyłéj, zaszczepiły w Galicji literaturę perjodyczną, która znów dała początek literaturze książkowéj, nieszczęśliwa kraina ożyła jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiéj i odtąd datują się tu usiłowania, których skutki aż nadto są widoczne. W obudwu uniwersytetach, we wszystkich zakładach naukowych, w sądach i prawie we wszystkich urzędach język polski posiada prawo obywatelstwa, w Krakowie powstaje akademja umiejętności, która, cieszmy się nadzieją, bodaj w przyszłości wyjrzy przecież po za granice Kleparza.

Bardzo to jest wiele dla języka, chociaż nie można powiedzieć, aby już było wszystko. I tak, Galicja wywalczyła wprawdzie językowi polskiemu prawo obywatelstwa w urzędach, ale cóż, kiedy zamiast tego, dają jéj tylko jakąś ironję języka. Aby się o tém przekonać, dość przeczytać parę ogłoszeń na ostatniéj stronie Gazety lwowskiéj, nieszczęśliwém piśmie, które obok fejletonów i dodatków, zawierających drogocenne materjały historyczne i statystyczne, bardzo często musi zamieszczać potworności. Towarzystwo naukowe krakowskie a w szczególności komisja językowa, która się w jego łonie utworzyła, cudów już dokazała dla poprawienia języka urzędowego, ale, aby złe do gruntu wykorzenić, mniemano, że niema innéj rady, tylko sprowadzić kilkunastu urzędników z Królestwa Polskiego i poumieszczać ich w rozmaitych dykasterjach, z obowiązkiem poprawiania wszystkich pism, zwłaszcza tych, które mają być drukowane a osobliwie formularzów.

Ale dajmy pokój językowi urzędowemu a zwróćmy się raczéj do języka używanego w Galicji w mowie potocznéj, w książkach i gazetach. Przesiąkł on tak niemczyzną, że mieszkańców tego kraju, umiejących dobrze mówić i pisać po polsku, możnaby na palcach policzyć. Już to my Polacy w ogóle pod względem języka nieszczęśliwi jesteśmy. Mniejsza już, że się na ortografję zgodzić nie zdołaliśmy: ale prawdziwém można nazwać nieszczęściem to, że n. p. nie mamy ustalonéj nomenklatury chemicznéj (bo inna jest w Warszawie, inna w Krakowie, a należy się spodziewać, że uniwersytet lwowski wkrótce trzecią utworzy).

Co się tyczy języka potocznego w Galicji, mniemamy, że nie posądzą nas o przesadę, gdy powiemy, że do jego zanieczyszczenia przyczyniają się głównie przekłady z obcych języków. Jakoż w szkołach tamtejszych używają po większéj części książek tylko tłumaczonych, a tłumaczonych bardzo niepoprawnie. Katechizm dla szkół początkowych, książka z któréj dzieci uczą się przecież na pamięć, historja święta, są z niemieckiego przełożone najniegodziwszą polszczyzną. Że też to ojcowie Jezuici, mający tyle czasu i pieniędzy na co innego, nie wydadzą jakiéj dobréj książki do nauki religji dla dzieci! I inne przekłady dla szkół są często mniéj niż mierne.

Nie można o to zbytecznie winić tłumaczów, bo wiadomo, jak to trudno jest uchronić się przy tłamaczeniu błędów przeciwko składni języka, z powodu, iż myśl, wytężona na zwroty obce, w miarę znużenia coraz bardziéj do nich się nagina. Winićby raczéj należało tych, którzy do szkół zaprowadzają książki tłumaczone, lecz i oni nie całkiém winni, bo do niektórych przedmiotów nie mamy podręczników szkólnych, odpowiadających potrzebie. Główna spada więc wina na piszących i na wydawców, że nie dostarczają dzieł oryginalnych. Co się dzieje z książkami szkólnemi w Galicji, to samo można powiedzieć o wielu a wielu książkach, dla szerszéj publiczności przeznaczonych a wychodzących nietylko w Galicji, lecz na całym obszarze naszéj ojczyzny. Mamy w literaturze naszéj bardzo wiele przekładów do wszystkich gałęzi wiedzy, przybywa ich coraz więcéj, ale nie są coraz lepsze. Teraz n. p. wyszły świeżo „Dzieje utworzenia przyrody“ Dra E. Haeckla, piękne wydanie, ozdobne ryciny, przy nadzwyczaj umiarkowanéj cenie, ale cóż z tego, kiedy przekład, szczególnie też pod względem poprawności języka i terminologji wiele bardzo zostawia do życzenia*). Odwołujemy się tu do cudzego zdania; o iluż innych przekładach i my sumiennie toż samo moglibyśmy powiedzieć na poparcie twierdzenia naszego, że przekłady z obcych języków w najwyższym stopniu zanieczyszczają mowę naszą. Któżby n. p. poznał język Lucjana Tatomira w historji Pütza, którą przed paru laty przełożył?

Pierwszy tom téjże historji Pütza tłumaczył pan W. Niedzielski, Dr. filozofji i kandydat na profesora uniwersytetu. Skandaliczny to przekład. Nikt przeciwko temu nie wystąpił, bo nikt nie chciał narazić się radzie szkolnéj galicyjskiéj, która ową książkę do używania w szkołach przeznaczyła, ta zaś uczyniła to dla tego, ponieważ nie chciała narazić na stratę wydawcy, p. Karola Wilda, który wydaniem Szajnochy, Szujskiego i t. d. nie mało zasłużył się krajowi, ale wydanemi przez siebie przekładami nie wiele sprawił dobrego. Wyjątek stanowi tylko Historja cywilizacji Buckla, któ-

*) Warsz. Rocznik liter. 1872, str. 16.

réj przekład przez p. Wł. Zawadzkiego uskuteczniony, można nazwać wzorowym. Historję Weltera trzy razy na język polski przełożono; dla czego? trudno zapewne byłoby odpowiedzieć. To pewna, że najpóźniejszy przekład jest oraz najsłabszy. Widać z tego, że członkowie parlamentów mogą być głębokimi politykami, ale niekoniecznie dobrymi tłumaczami. Obecnie p. W. Bartoszewicz (księgarnia polska) we Lwowie zabiera się do wydania Schlossera w języku polskim, przeznaczając cały czysty dochód na rzecz oświaty narodowéj; oby tylko o tym nowym przekładzie można było toż samo powiedzieć, co głos powszechny wyrzekł o przekładzie Buckla, w przeciwnym bowiem razie te paręset guldenów, które oświata narodowa ma zyskać, nie zdołają wynagrodzić szkody, jaką zły przykład wyrządzi językowi. Bądź co bądź, mniemam, iż dobrze byłoby, gdyby przed rozpoczęciem przekładu Schlossera historycy nasi chcieli stanowczo poprzeć powagą swoją zamiary p. Bartoszewicza, dotychczas bowiem same tylko komunały o Schloserze słyszeliśmy. W Roczniku literackim warszawskim S. Czarnowskiego wykazano około 100 przekładów, stanowiły więc czwartą część tamtejszéj produkcji, a może i większą, bo wiadomo powszechnie, że wszystkie pisma perjodyczne warszawskie niemal połowę miejsca poświęcają przekładom, czego Rocznik nie wykazuje, zajmując się tylko książkami oddzielnie wydanemi. Za daleko byśmy zaszli, gdybyśmy chcieli wykazać, ile każdy z tych przekładów przyczynił się do skażenia naszego języka. Ale... gdybyż przekłady te tylko jedno złe nam sprawiały...

Na tém samém miejscu niedawno pisaliśmy już o przekładach i miło nam, że słowa nasze, acz im słuszności nie przyznano, nietylko zwróciły na siebie uwagę, ale nawet sprawiły, iż kwestję przekładów postawiono na daleko wyższym piedestale, niż to my sami uczyniliśmy. Widać, że kwestja jest ważna i godna bacznego ze wszechmiar rozbioru.

Co do nas, z wielu bardzo względów przeciwni jesteśmy wszelkim przekładom. Jesteśmy im przeciwni, bo nam kalają język, przeciwni, bo dbamy o cześć narodu a właśnie z powodu, iż się tłumaczeniami karmimy. Niemcy nazywają nas pogardliwie żebrakami u bram kultury niemieckiéj, wyciągającymi ręce po okruchy spadające ze stołu bogaczów. Jesteśmy przeciwni tłumaczeniu, bo tłumaczenie jest wprawdzie bardzo wygodném, może nawet pożyteczném, często potrzebném zajęciem, ale odwodzi nas od samodzielnego myślenia i sprzyja naszemu wrodzonemu lenistwu, a jednak naród, który wydał Witaliona, Kopernika i tylu uczonych aż do ostatnich czasów, naród, który na kartach swojéj historji zapisuje dzień 3go maja, naród, który w ostatnich chwilach swego istnienia przejrzawszy nagle, postawił u siebie system edukacji na takiéj stopie, na jakiéj nie był w całéj Europie, naród, który wydał takiego socjalistę jak Zygmunt Krasiński, naród taki mówię, ma przed sobą przyszłość i mógłby się zdobyć na coś lepszego, niż same tłumaczenia, naród taki popełnia ciężką winę, tłumiąc w sobie iskry wrodzonych talentów dla tego, ponieważ wygodniéj jest tłumaczyć, niż samemu myśleć i tworzyć.

Zresztą, bez poprzedniczego wykształcenia naród nie zrozumie dzieł tłumaczonych, a rządy, pod których macoszą opieką, właściwie wypieką zostajemy, aż nadto dokładają starania, abyśmy tego poprzedniczego wykształcenia nie mieli. Czego zaś nie zrozumie, tego czytać nie będzie, a tak tłumaczenie na nic się nie przyda. Szczęśliwi, którzy mniemają, że chociażbyśmy stróża postawili przed świątynią nowożytnéj wiedzy, gromada, ten wielki człowiek, obali stróża i zaglądać będzie przez dziurkę od klucza. Niestety, nie obali i nie będzie zaglądać. Obejdzie świątynię do koła i ani nie spojrzy na nią, w tych czasach bowiem, w których żyjemy, czytelników trzeba łowić za pasy. Najbliższych rzeczy nikt nie jest bardzo ciekawy, a miałby szperać za tém, czego nie zrozumie? Jeżeli zaś wbrew memu twierdzeniu, wielki ów człowiek weźmie taką książkę do ręki, wtenczas to, co jest jeszcze za trudném dla jego umysłu, nietylko nie przyczyni się do rozjaśnienia jego wyobraźni, lecz je owszém zaciemni, zamąci. Zgadzamy się pod tym względem zupełnie z warszawskim Rocznikiem literackim (str. 19). Czy takie zamącenie umysłów może być pożyteczném, bardzo wątpię, sądzę więc, że i przekładów, sprawić je mogących, starannie unikać należy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z PRZYRODY.

Artykuł czwarty.

Wybuchy Wezuwiusza.

(Dalszy ciąg).

Jeden z mieszkańców Ottajano, miejscowości położonéj na stronie wschodniéj Wezuwiusza, który 14 dni przedtém dotarł na sam stożek góry, spostrzegł, że grunt otworu wulkanicznego nieco się podniósł. Celem przekonania się o prawdziwości podobnego zjawiska, udało się kilku mieszkańców z Torre na dni pięć przed wybuchem na szczyt Wezuwiusza. Tutaj zobaczyli z podziwem, że grunt krateru podniósł się niemal do poziomu jego brzegów, że wegetacja w wnętrzu otworu wulkanicznego niemal całkiém zniszczona i tu i owdzie pokryta brudną, żywiczną masą, z któréj wydobywał się odór siarki. Równocześnie zauważano, że psy wyły żałośnie, że bydło w stajniach ryczało strwożone, że ptaki bojaźliwie tam i nazad latały, a niektóre zwierzęta rwały się i biegały jakby bezprzytomne. Cudownie pogodne niebo, na którém ni jedna nie osiadła chmurka, śliczna pogoda zapowiadająca najpiękniejszą wiosnę, wszystko to kazało zapominać o grożącém niebezpieczeństwie i lekceważyć pojawiające się znaki bliskiéj katastrofy.

W nocy z 15go na 16go grudnia, przed godziną 10tą, nastąpiło tak silne i raz po razie powtarzające się trzęsienie ziemi, iż zaczęto się naprawdę niepokoić. Był to prolog strasznéj i jedynéj w dziejach tragedji. We wtorek, dnia 16 grudnia, z brzaskiem zorzy porannéj, obaczyli wieśniacy, zbierający się na jarmark do miasta, wydobywający się nagle z Wezuwiusza słup czarnego dymu, który całą siłą pędził pod obłoki. Wieść o tém nadzwyczajném zjawisku rozbiegła się lotem błyskawicy po Neapolu, gdzie wszystko jeszcze we śnie spoczywało, a w kilku minutach dachy domów i kościołów, zkąd można było dojrzeć Wezuwiusza, okryły się tłumami wystraszonych widzów. Słońce właśnie co zeszło i rozświeciło widok majestatyczny, jaki przedstawiała ogromna masa zbitego dymu płynąca daleko pod obłoki, raz biaława, to znowu sina, a w środku ciemno-czerwona.

Wzbiwszy się w słup olbrzymi cała ta masa, przez chwilę ani drgnęła i niejako zawisła spokojnie w powietrzu, lecz wkrótce poczęła od wierzchołka rozpływać się i utworzyła olbrzymie drzewo, podobnie zupełnie jak to Plinius opisuje. Podczas gdy obłok ten skutkiem bezustannego napływu gęstego dymu rósł ciągle i ciągle, wierzchołek jego rozrastał się do nieskończoności, przybierał najrozmaitsze kształty, w których fantazja strwożonego ludu upatrywała olbrzymów, potworne słonie, groźne kolosy, i zaciemniał coraz bardziéj promienie słoneczne. Gwałtowne błyskawice i szlaki ogniste, jakiemi zajaśniały zaciemnione niebiosa, niemniéj do grzmotów podobny huk napełniały strachem serca najodważniejszych. Równocześnie począł miotać Wezuwiusz ogromnemi rozpalonemi kamieniami, które, zmieszane z popiołem i gorącym piaskiem, raziły uciekających mieszkańców i potęgowały wśród ogólnych ciemności trwogę i rozpacz nieszczęsnego ludu. Do koła sceny okropne, jęki, modlitwy i błagania ratunku. Ponieważ cała góra stała w obłokach i płomieniach, a podziemne grzmoty, nieustępujące wcale grzmotom najcięższych dział, na wielu odzywały się punktach, przeto ci co zachowali jaką taką przytomność wpadli na słuszną myśl, że Wezuwiusz musiał w kilku rozpaść się miejscach i że więcéj powstało otworów wulkanicznych. U podnóża góry, jak łatwo zrozumieć, panowało jak największe zamieszanie. Kardynał-arcybiskup Buoncompagno, który właśnie podówczas znajdował się w Torre del Greco, udał się natychmiast do Neapolu, gdzie zarządził dla uśmierzenia gniewu pańskiego modlitwy i procesje, podczas gdy w Torre dell' Annunziata, narażoném na największe niebezpieczeństwo, książę i księżna Botera byli pierwsi, co na pół ubrani ratowali się ucieczką. Mając tak dobry przykład przed sobą, każdy myślał tylko o tém, aby uchronić życie. Niektórzy spieszyli do świątyń, gdzie wyznawali grzechy swego żywota, inni ratowali swe kosztowności i skarby, inni znowu, a tych było najwięcéj, nie zatrzymując się ani chwili, gnali prosto do stolicy, a między tymi gubernator z Torre del Greco, Antonio di Luna, który wiódł za sobą, co mu było najdroższém — 12tu więźni w ciężkich łańcuchach, ofiary zemsty osobistéj. Nieszczęście, a właściwie nędzna głupota rządu sprawiła, że w skutek szerzącéj się w Wenecji zarazy zamknięto most Magdaleny i żądano od uciekających świadectwa zdrowia, w skutek tego cała ludność jaka się tutaj zbiegła, zwróciła się napowrót do Torre del Greco i krok ten nierozważny przypłaciła drogo, bo życiem. Gdy w końcu odemknięto most, schroniło się do Neapolu tak tego jak i następnego dnia przeszło 40,000 uciekających. O godzinie 5 ukończyła się wielka procesja, a prawie w téj saméj chwili wybuchy wulkanu przybrały tak zatrważające rozmiary, iż każdy drżał o swe życie. Mury drgały i rysowały się, drzwi i okna otwierały się i zamykały same, mimo, że niezauważano najlżejszego wietrzyku. Od chwili do chwili ziemia się trzęsła i zdawało się, że jednym razem roztworzy paszczę i pochłonie wszystko w swém wnętrzu. Wiele gmachów runęło. Popiół pędzony wiatrem począł przysypywać ulice, napełniając wszystko do koła zapachem smoły i siarki, podczas gdy kule ogniste pękały w powietrzu. Wtedy to każdy był tego przekonania, że wybiła dlań ostatnia godzina i że dzień ten, to dzień sądu Bożego; nietylko po kościołach, ale po wszystkich miejscach publicznych i ulicach spowiadano się, a ci co niemogli docisnąć się do zaimprowizowanych konfesjonałów, wypowiadali jawnie na głos swe nieprawości. Komisja sanitarna, wysłana przez wicekróla w kierunku Wezuwiusza, celem zdania sprawy o szkodliwości lub nieszkodliwości wulkanicznego dymu, powróciła napowrót tego samego jeszcze wieczora bez żadnego pocieszającego rezultatu.

Teraz nastała dla Neapolu noc straszniejsza nad inne, straszniejsza nad wszystkie dotąd przeżyte. Do rana naliczono 100 uderzeń ziemi. Miejsca publiczne i ogrody napełniły się tłumami przerażonego ludu, który z obawy, aby nie zginąć pod gruzami walących się domów, obozował tutaj, licząc trzęsienia ziemi. Około godziny 1 huk wulkanu wzmógł się do tego stopnia, iż sądzono powszechnie, że cała góra wyleciała w powietrze. W końcu zaświtał dzień 17go grudnia, jeśli świtem nazwać można pomrok, jaki rozsiadł się w miejsce czarnych ciemności. Miasto się uspokoić, wzmagała się bezustannie działalność rozpasanego żywiołu. Około godziny 7 powstało nader silne trzęsienie ziemi, rozpalone kamienie padały na ulice, a to wśród akompaniamentu krwawych błyskawic, kul ognistych i ryku piorunów. A przecież to wszystko było li przegrywką do strasznéj katastrofy, którą skreślić piórem w całéj jéj okropności nie jesteśmy w stanie, nie mamy odwagi.

Około godziny 9 rano począł Wezuwiusz wyrzucać z siebie ogromne strumienie wody, która w trojakim naraz rozlała się kierunku, płynąc ku Ottajano, Somma i Massa. Wody te uniosły wszystko ze sobą i z taką szybkością żłobiły sobie koryta, iż ludzie nawet nie mieli czasu uratować swe życie. Wkrótce potém nowemi poczęła góra buchać strumieniami, rozlewającemi się w kierunku morza, ku Portici i Resina i unoszącemi na swych spienionych grzbietach całe domy wraz z ludźmi, bydłem i całém gospodarstwem. Ależ i morze w obec rozkiełzanych w ten sposób żywiołów poczęło się burzyć. Po trzykroć w ciągu tego dnia wystąpiło ono ze swego łożyska, zalewając całe wybrzeże. Temperatura morza wzniosła się przytém do tego stopnia, że wiele ryb pozdychało.

O godzinie 10, w chwili gdy nieco poczęło się uspakajać, nowy okropny widok wywołał przerażenie ludności neapolitańskiéj. Istne morze ognia, ogarniające całą południowo-zachodnią część stoku Wezuwiuszowego, poczęło rozlewać się do koła, zamieniając wszystko po drodze w popiół i ruiny. Cała góra — jak pisze Carafa — zdawała się smażyć w piekielnych płomieniach. Lawina ta, o jakiéj drugiéj podobnéj nie wspominają dzieje Wezuwiusza, rozlała się w liczne strumienie, z których niektóre były kilkukilometrowéj szerokości i płynęły naprzód z szaloną szybkością. Równocześnie obrócił się wiatr, a deszcz nawalny, zmieszany z ziemnemi i piaszczystemi substancjami, zamienił ulice Neapolu w jedno wielkie jezioro.

Gubernator don Antonio di Luna, który celem naprawienia swych błędów, o rannéj jeszcze godzinie powrócił do Torre del Greco, znalazł tutaj wszystko w stanie nie dającym się opisać. Nikt nie wiedział, kędy się zwrócić. Wozy, zwierzęta, ludzie napełniali ulice miasta. Rozkazy, jakie wydał gubernator w téj stanowczéj godzinie, różnie osądzają dziejopisarze. Jak bądź będziemy się na nie zapatrywać, trudno nam nie wyznać, że były one najniewłaściwsze, najnierozsądniejsze, bo w skutek takowych stracono wiele, bardzo wiele drogiego czasu. W końcu tłum ludu, około 1000 głów, wyruszył w pochód z duchownym i gubernatorem na czele, otoczonym liczną kawalerją. Kolumna ta zaledwie doszła do bramy, która prowadziła na gościniec wiodący do Neapolu, gdy dał się słyszeć straszny, niezbadany szum podziemny, a prawie w téj saméj chwili rozwarła się paszcza, a z niéj poczęła wydobywać się sycząca lawa płynąc wprost na zbitą masę struchlałego ludu. Widząc tak straszne niebezpieczeństwo, tłum ten rozdzielił się instynktowo na dwa oddziały. Z pozostałych zamierzał gubernator i 150 innych osób ratować się spieszną ucieczką do Torre dell' Annunziata, lecz już było zapóźno. Strumienie ognistéj lawy okrążyły naraz ową garstkę zrozpaczonych i w jednéj chwili śmierć dosięgła wszystkich. Około 500 osób nie przyłączyło się do pochodu i skryło się do kościoła Santa Maria del carmine

i della virgine del Rosario, oczekując tutaj z pełną rezygnacją nieochybnéj śmierci. Nieszczęśliwi ci zginęli pod gruzami walących się świątyń, nikt nie ocalał. Ci wszyscy, którzy będąc na przodzie chroniącego się do Neapolu ludu, odcięci lawiną od reszty uciekających schronili się do kościoła franciszkanów Madonny delle grazie, uratowani zostali. Sorrentino opowiada, że żywili się oni aż do chwili, gdy ich ztąd oswobodzono, mięsem na pół spalonych zwierząt, jakie lawa z sobą tutaj przyniosła. Dwa inne gwałtowne strumienie rozlały się jeden w kierunku Bosco tre case i Torre dell' Annunziata, drugi w kierunku Resina, pustosząc najokropniéj całą okolicę. Pisarze z owych czasów opowiadają nam różne epizody o rodzinach, których pojedyńczy członkowie pochłonięci zostali w oczach swych krewnych srożącą się lawą, o cudownem uratowaniu pojedyńczych osób i t. d., w ogóle atoli nie wiele tylko znalazło się takich, co zostając w pobliżu widowni zniszczenia, nie padli sami ofiarą strasznego żywiołu.

W Neapolu samym, jak opowiada Celano, panowała w czasie, gdy lawa spływała do morza, ciemność zupełna. Widziano ztąd palące się w morzu drzewo i inne przedmioty przypędzone lawą i sądzono w pierwszéj chwili, że to strumienie wulkaniczne wydobywające się z pod wody. Olbrzymie obłoki popiołu niosły deszcz swój przez adrjatyckie morze, do Dalmacji, Grecji, a nawet do Konstantynopola.

We czwartek dnia 18 grudnia począł padać od samego rana deszcz brudny i gęsty. Wezuwiusz buhał ciągle płomieniami, dymem, piaskiem, rozpalonemi kamieniami, wydając przy téj sposobności ryk głuchy, przejmujący nieopisaną trwogą. Podczas gdy w Neapolu odprawiano publiczne procesje i błagalne nabożeństwa, a kościoły napełniły się ludem, który tutaj rozbił swe namioty mieszkalne, wyładował wice-król trzy okręty, mające przynieść nieszczęśliwym mieszkańcom nadbrzeżnym pierwszą przynajmniéj pomoc. W Torre dell' Annunziata znaleziono przy życiu wszystkiego trzy osób, które zabrano natychmiast na pokład; najboleśniejszy atoli widok przedstawiała Torre del Greco. Przeniesiono mnóstwo nieszczęśliwych na łodzie; wielu z nich potraciło ręce i nogi, wielu leżało w śmiertelnych podrygach, okryci najstraszniejszemi ranami. Umarłych chowano całemi masami; obok zabitych ludzi widziano cielska dzików, wilków, jeleni i innych zwierząt. W Torre del Greco niemal wszyscy zagrzebani zostali lawą, popiołem i kamieniami. Ale najokropniejszym był widok tych, których śmierć dosięgła w ucieczce. Jedni stali po pas w zastygłéj lawie, drgając konwulsyjnie wyższą częścią ciała, inni utonęli całkowicie w wulkanicznéj materji, inni znowu z twarzą skurczoną niewysłowionym bólem zawiśli w lawie łamiąc zrozpaczone dłonie, inni umierali trzymając w objęciach najdroższe osoby.

Rząd sprowadził wkrótce znaczną ilość robotników, którzy pracowali po całych dniach nad oczyszczeniem gościńców i przywróceniem komunikacji.

W piątek, t. j. 19 grudnia, zdawał się Wezuwiusz nieco uspokajać, a gdy wierzchołek jego dymić zaprzestał, zauważano z zdziwieniem że cały szczyt góry wyleciał w powietrze, i że podczas gdy stożek wiele stracił z swéj wysokości, wyższa część krateru przybrała niepospolite rozmiary.

W ciągu nocy z soboty na niedzielę ponawiające się po pięć kroć silne trzęsienia ziemi, napełniły miasto nowym strachem i poczyniły wielkie w całéj okolicy spustoszenia. W niedzielę, 21go, zabrano się, mimo ulewnego deszczu, ponownie do grzebania ludzi i zwierząt. Tak skończył się pierwszy tydzień. Drugi rozpoczął się niesłychanemi ulewami, podczas gdy Wezuwiusz buhając bezprzestannie popiołem i rozpalonemi kamieniami, dokonywał do reszty dzieła zniszczenia; poczém nastąpiło kilka dni suchych, i tak trwało aż do 28go, na którym to dniu runęła część spadzistości ogromnego krateru, a zarazem szeroki strumień wody wytrysnął z Wezuwiusza. Wielu mniemało, że cała masa téj wody pochodzi bezpośrednio z morza i zapewniało, że dostrzegli tam muszle, morskie raki i ugotowane ryby. Również dostrzeżono, iż w Atrio del cavallo pozostała woda miała smak wody morskiéj. Morze samo bezustannie było wzburzone, szczególnie 29go, kiedy to posłyszano szmer podziemny, prysk i kipienie, a po tém wszystkiém huk i trzask olbrzymi, jak gdyby cała góra runąć miała.

Dnia 31 wśród pięknéj pogody wystrzeliły z Wezuwiusza dwa nowe strumienie, z których jeden spłynął ku Resina, drugi zaś ku Ottajano. Woda tych strumieni była gorącą i więcéj przezroczystą, niż poprzednich, co zapewne temu przypisać należy, iż koryta któremi się toczyła, były dostatecznie już spłókane i wyczyszczone. Następnéj nocy podniósł się silny orkan a rok 1631 ukończył się wśród grzmotów i błyskawic. Pierwszy tydzień nowego roku przyniósł wprawdzie ze sobą nowe trzęsienia, zwolna jednak uspokajały się w ciągu następnych miesięcy wzburzone żywioły, a 12 maja uczuć się dały już tylko lekkie uderzenia ziemi. Główny stożek Wezuwiusza utracił po tym wybuchu 168 metrów (przeszło 500 stóp) z swéj wysokości, podczas gdy obwód krateru rozszerzył się z 2000 na 5000 metrów.

Ale cóż się stało z téj cudownie pięknéj, urodzajnéj, jasném i przezroczystém niebem nakrytéj Kampanji! Torre del Grecco, Torre dell' Annunziata, Resina, Portici, San Giorgio a Cremano, Massa, Pollena, Trochia, Ottajano i wiele innych mniejszych miejscowości znikły częścią całkiém z powierzchni ziemi, częścią sterczały tylko resztkami powalonych domów i rozkosznych do niedawna ogrodów.

Lawa i płomienie przyprawiły 4000 ludzi o śmierć, zaś straty materjalne obrachowano na 20 milionów dukatów czyli 85 miljonów franków, a na domiar tego wszystkiepo spodziewać się należało głodu, zarazy i innych następstw, będących skutkiem podobnych katastrof.

W ciągu 17 stulecia Wezuwiusz srożył się kilkakrotnie i odtąd *każdy* jego wybuch z większą obserwowano dokładnością, *badając* naukowo przyczyny i skutki wulkanicznych *erupcji*. Tak przeto posiadamy dokładne opisy takowych z lat 1638, 60, 80, 82, 94 i 96–98. Wszystkie rozpoczynały się wydawaniem z siebie ogromnéj ilości dymu, przyczém towarzyszyły im mniejsze lub większe trzęsienia ziemi, grzmoty podziemne, deszcze z popiołu, wybuchy lawy ognistéj i t. d.; żaden atoli wybuch nie wyrównał temu, o jakim mówiliśmy przed chwilą. —

W 18 stuleciu nie przycichł Wezuwiusz ani na chwilę, trawiony bezustannie wewnętrznemi rewolucjami i jedynie gwałtownym nieustającym wcale eksplozjom przypisać należy, że kształt saméj góry uległ znacznym zmianom. Wysokość jéj przeciętna wynosi 3700 stóp, lecz takowa w różnych czasach bywała rozmaitą.

Często bardzo, a tak między innemi r. 1737 i 1751 lawa wybuchała nie z wierzchołka Wezuwiusza, lecz ze ściany takowego, gdzie pod naciskiem parcia wewnętrznéj siły wytwarzały się otwory, przez które płyn ognisty torował sobie wygodną drogę.

W lecie 1755 r. różne znaki przemawiały za tém, że nastąpi silna erupcja. Morze wystąpiło w lipcu i sierpniu ze swych brzegów, a nieszczęsny obłoczek sinego dymu mglistą otaczał oponą wierzchołek ognistéj góry. Gdy jednakże dnia 1 listopada tegoż roku niesłychane trzęsienie ziemi zamieniło w gruzy stolicę Portugalji, ucichł naraz Wezuwiusz i przestał dymić. Kilkakrotnie zdarzało się, że podczas gdy słup ognisty wzbił się już do pewnéj wysokości, lawa niespodzianie utorowała sobie drogę gdzieś z boku, a słup ognia powracał napowrót do wulkanicznéj otchłani. Następnie

przedstawiło się oczom zjawisko, którego wspaniałéj piękności równocześni nie mogli się dość nadziwić. Oto góra pękała wśród piorunowego huku, a otworem poczęła w olbrzymiem półkolu tryskać ognista fontanna, podczas gdy równocześnie wierzchołek Wezuwiusza buchał kolumną szarego dymu. Taka erupcja miała miejsce w październiku 1767 r. a wspanialsze tego rodzaju widowisko odbyło się w lipcu 1779, w czasie którego runęła wraz z wewnętrznym stożkiem cała równina wulkaniczna, a w skutek czego południowo-zachodnia strona góry zarysowała się w całéj długości szeroką i głęboką rozpadliną.

Potężny słup ognia, jakiego dotąd nie widziano, i przy którego blasku można było czytać w oddaleniu mil kilku, oświecał następne noce, poczém nastąpił deszcz popiołu, który gdyby jedną dłużéj godzinę był potrwał, miasteczko Ottajano na wschodniéj stronie Wezuwiusza, byłoby niezawodnie uległo losowi Pompeji. Po wybuchu, jaki srożył się w r. 1631, bezwątpienia najgwałtowniejszym i najokropniejszym w skutkach był wybuch, jaki nawiedził Kampanię w lecie roku 1794. Z ośmiu otworów, powstałych powyżéj Torre del Greco, sączyły się olbrzymie strumienie gorącéj lawy, zalewającéj wszystko do koła na przestrzeni 2000 stóp szerokości w kierunku morza. Po téj erupcji cały kształt góry znowu się zmienił. Według Hamiltona 10,000 ludzi pracując przez lat wiele nie zdołałoby dokonać na Wezuwiuszu takich zmian, jakich sama natura dokonała w przeciągu kilku godzin. Jak zwyczajnie po każdém silniejszém wstrząśnieniu tak i tym razem nastąpiła dłuższa przerwa i dopiéro rok 1804 otworzył szereg wybuchów, w które tak obfituje nasze stulecie, iż dziś prawie mówić niepodobna choćby nawet o chwilowém uspokojeniu się wulkanicznych żywiołów.

Obok erupcji z r. 1804 niemniéj silnemi były wybuchy z lat 1812, 1822, 1850 i 1861, bo pociągającemi za sobą dotkliwe na okół zniszczenia. Wprawdzie dzisiaj z większą dokładnością nauczyliśmy się obserwować znaki będące wróżbą bliskiéj katastrofy, a gdy w studniach woda zasycha, gdy morze występuje z swych brzegów, gdy ziemia drgać zaczyna, gdy z góry ognistéj wzbija się ciemny, wysoki słup dymu, wtedy ludzie i zwierzęta przeczuwając chwilę zguby, chronią się w bezpieczne miejsca, budynki atoli i urodzajne pola pozostawiane być muszą na pastwę rozkiełzanego żywiołu. Przedewszystkiém Torre del Greco, urocze miasteczko o 16,000 mieszkańców, narażoném bywa najczęściéj na największe niebezpieczeństwo, a powracający doń mieszkańcy zastają zazwyczaj tylko gruzy i ruiny. Znaném jest z tego powodu w Neapolu przysłowie: N a p o l i f a i p e c c a t i e T o r r e l i p a g a (za grzechy Neapolu, Torre pokutuje) i tak jest rzeczywiście. Niedawno, bo dopiéro przed czternastoma laty, silne trzęsienie ziemi poczyniło w Torre niezwykłe spustoszenia, wstrząsając aż do gruntu fundamentami jego budowli, a 10 lat temu, było to bowiem 8 grudnia 1861, otwarło się jedenaście paszcz wulkanicznych, które miotając rozpaloną lawą, dokonały w kilkunastu ulicach najokropniejszego zniszczenia.

Przy zwyczajnych wybuchach, powtarzających się dziś już co roku, strumienie lawy nie dosięgają nawet podnóża Wezuwiusza, przytém wyrzucone z jego wnętrza kłęby gorącego popiołu nie są dość silne, aby mogły grozić większém niebezpieczeństwem. Erupcja, jaka rozpoczęła się 29 listopada 1867 i przeciągła aż do maja 1868, odznaczała się pod wielu względami od innych, przedewszystkiém tém, że wybuch trwał bezustannie w sposób dziwnie prawidłowy. Z początkiem marca lawa spłynęła po stronie góry zwróconéj ku Neapolowi, jakby strumyk spokojny, a tylko dno jego błyszczące wskazywało, czém jest właściwie. Dnia 4 marca około godziny 3 po południu — opowiada naoczny świadek — wspinałem się od strony Resina na górę. Po jednogodzinnym pochodzie dotarłem do skamieniałego wału rumowisk wulkanicznych, w pośród których wygodna prowadzi droga, a pół godziny późniéj znalazłem się na pagórku San Salvadore w pobliżu tak zwanéj pustelni, zkąd widnieje obserwatorjum meteorologiczne Wezuwiusza, i z którego to miejsca wiedzie jedynie wązka ścieżka. W ćwierćgodzinie staje się u wnijścia pieczary ciągnącéj się pośród stromych skał, tak zwanego przedsionka końskiego, Atrio del Cavallo. Tutaj poczynają się piętrzyć nowe masy zastygłéj lawy. Przed nami roztacza się pagórkowaty, popękany szmat ziemi, z którego brudne, zczerniałe sterczą odłamy zbitéj masy. Kilkaset kroków daléj poczyna być już gorąco, podróżny czuje, że pod jego stopami wre piekielny ogień; ztąd tylko powoli i mozolnie można przedzierać się przez kupy żużli, z pod których przy zbliżającym się pomroku błyszczą złowrogo kawałki żarzącéj się lawy. W końcu zbliżamy się do nierównie wznoszącéj się wypukłości, zasianéj rozpalonemi odłamami ztwardniałego płynu ognistego. Jedna z odnóg strumienia wulkanicznego utorowała sobie przez te pola żużlowate wygodną drogę i spłynęła dawniéj już wyżłobioném korytem spokojnie, bez huku, jak gdyby potok na równinie. Do łoża téj cudownie błyszczącéj rzeki, która szeroka 15 stóp, była zupełnie podobną do płynu stopionego żelaza, można było dość blisko przystąpić, tak blisko, jak na to zazwyczaj pozwala płyn rozpalony. Kilka dni późniéj zapęd lawy zmniejszył się nieco, lecz eksplozywna działalność stożka rosła za to z dniem każdym.

Gdym dnia 13 marca znalazł się na Wezuwiuszu, słyszano już w Resina huk gwałtowny, wydobywający się z wnętrza góry, dym jednakże gorący, jakim buchał Wezuwiusz, tém mniéj mi szkodził, im wyżéj się wspinałem. W Atrio del Cavallo głuchym o stromą ścianę Sommy odbijał się echem każdy huk góry wulkanicznéj, a hałas tak był strasznym, iż zdawało mi się, że znajduję się w pośrodku dwóch nieprzyjacielskich baterji. Wyrzucane przy każdym łomocie krateru na jakie 1000 stóp w górę kamienie i odłamy różnéj ilości i wielkości przedstawiały się w Atrio jako stado to wzbijających się, to opadających ptaków wędrownych. Pociski te były coraz większe i rozpalone jak żarzące węgle. Wiatr pomyślny, który w przeciwną od nas stronę pędził chmury dusznego dymu, pozwolił nam dostać się prawie do samego brzegu wulkanicznéj otchłani, tak, żeśmy zaledwie w oddaleniu 20 stóp mogli obserwować spadające napowrót do krateru rozpalone kamienie. Nie wiele z nich tylko staczało się po zewnętrznéj ścianie góry.

W kilka dni późniéj pokazało się, że spotęgowana w ten sposób działalność Wezuwiusza była li usiłowaniem do wyrzucenia z siebie większéj ilości lawy, co też i późniéj nastąpiło, choć bez tych skutków, o jakich w niniejszéj rozprawie w każdym niemal wierszu mówić mieliśmy sposobność. Tego samego roku dnia 15 listopada utworzyły się na stożku Wezuwiuszowym dwa nowe otwory wulkaniczne, które wysączyły ze siebie w krótkim stosunkowo czasie znaczne masy lawy.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Władysław — p. Wojciecha Dzieduszyckiego. — Lwów nakł. Karóla Wilda 1872.

Utyskiwania na zmaterjalizowanie i przesadni pozytywizm naszéj młodzieży, znajdą w powyżéj wymienionéj książce wymowne choć częściowe tylko zaprzeczenie. Jeżeli bowiem sam tytuł nic nie mówi i do niczego autora nie zobowiązuje, to rzecz za to odznacza się tak bujną fantazją, taką rozmarzoną młodzieńczością, że czytając te szumne tyrady na temat wzniosłości i poświęceń zmięszane par force z licznemi i psychologicznemi traktatami kokietującemi z bocza z uczonością, te filozoficzno-wolnomyślne poglądy na świat, godzące się tak naiwnie z religijnym mistycyzmem — mimowolnie powiedzieć sobie trzeba: „nie, dopóki taka młodzież żyć i kształcić się będzie, poezja nie zejdzie do posług cynizmu, a stare cnoty ojców naszych bezpieczne w gorącéj piersi znajdą schronienie.“

Niepodobieństwem jest rzucać na młodzieńczy puszek pokrywający myśli zawarte we „Władysławie“ mroźnego szronu surowéj krytyki — ograniczymy się zatém na ogólnéj expozycji.

Przedmowa, ten przedsionek gmachu, trzystronnicowa zawiła, filozoficzno religijna z razu, nie obiecuje nic a nic z powieści ani z romansu religijno-filozoficznego w greckim guście, jakiegośmy się spodziewali. Przy końcu aliści oświadcza, że: „może zdoła przyczynić się do zwalczenia skrajnych a zgubnych prądów.“ Autor obrał formę „powieści“ dla tego, że chciał przedstawić walki psychiczne i etyczne dzisiejszych pokoleń. Czy dotrzyma autor obietnicy? Zobaczmyż.

Jakiś Władysław, będąc Władziem na Rusi Czerwonéj (przezwanéj Galicją) w rodzicielskim, szlacheckim, zamożnym domu otrzymywał staranne, przeważnie kobiece wychowanie, osnute na religji katolickiéj. Dorastającego napawał ojciec swym przykładem „obywatela, lubianego przez szlachtę, szanowanego przez mieszczan, poważanego przez włościan.“ Świat tedy szlachecko-polsko-ruski stał się Władysława ideałem, a przeto i wzorem. Na tém zbawienném tle, wysłany za granicę Władysław, nabywał wiedzy filozoficznéj, tudzież znajomości innego obcego świata, a na nim innych obcych i swojskich ludzi. Nauczywszy się tam czego można było, w miarę postępu przechodził różne stopnie wiodące do wiedzy: wątpienie, zwątpienie, półwiarę, półświatło, aż wrócił półmędrkiem w progi ojczyste i osiadł jako dziedzic w wiosce na Pokuciu rodzinném. Jak wszyscy z uniwersytetów, a mianowicie niemieckich dopiero co udyplomowani filozofowie, rozwiniętą miał myśl, ale nie serce. W ciekawym tym duszy stanie czuł Władysław, że trzeba było męża, by starł łzy ludu, by do chaty zaniósł światło wiedzy, by na nowo zasadził drzewo wolności. I znalazł takiego męża w sobie samym. Tylko jednéj nie wiedział bagateli, t. j. jak się wziąść do rzeczy. Olśniony ogromem swéj nauki, a więc pyszny i zuchwały, szukał raka na ciele (innych) możnych i szczęśliwych narodów... „Mściciel sprawy — czyjéj? — Wszak on nie miał bliźnich, bo nie miał równych.“ „Czyż miał całe życie ofiarować na posługi nizkich istót, co go otaczały? Nie chciał sympatji, zdawało mu się, że sam sobie wystarczy. Chciał zwycięztwa. Chciał uszczęśliwiać: gardząc, a igrając: zadziwiać. Czuł się strasznie samotnym na świecie i pysznił się tą samotnością.“ Pomału z pysznego stawał się dumnym, ze zuchwałego śmiałym. W tym właśnie przechodnim stanie ducha zapoznał się z córą obywatelską Marylą. Jak zwykle kobiety, nie była ona uczoną, ale miała to, czego brak mężczyznom; t. j. serce i więcéj rozsądku, niż rozumu. Władysław będąc na uniwersytecie poznał się był z Palladą, boginią mądrości. Znajomość tę, bardzo mu pożyteczną, zawiązał tym sposobem, że orzeł uniósł go w swych szponach do Olympu. Tam to bogini nie kochająca bogów, udała, że zakochała się w zuchwałym studencie filozofji. Chciała nibyto stać się jego kochanką i zamieszkując w niebie spływać doń nocami. Odrzucił to Władysław, wymagając po niéj, ażeby się stała jego żoną, t. j. „sługą i niewolnicą.“ Pallas zezwalała już na to, że będzie królową Grecji w Atenach, lecz Władysław się oburzył, że nie będzie Bogiem — Carem, ale kochankiem tylko królowéj. Ostatecznie przystała Pallas na życzenia Władysława, i została Kasią w Kołomyi czy Delatynie, najpotulniejszą sługą i niewolnicą — „piorącą mu bieliznę i wyrzynającą nagniotki.“ Tém pouczyła nareszcie panicza, że jego pojęcia o stósunku towarzyskim mężczyzny z kobietą, były — studenckiemi bredniami. Teraz natrafił Władysław na właściwą drogę. Maryla, ziemianka, nie czując w sobie nic z bogiń, nie chciała nawet zostać Władysława — żoną, ażeby mu nie zawięzywać losu, „Jesteś, mówiła mu, stworzonym do wielkich czynów, do pracy zbawczéj, a jabym była ci kulą ołowianą wiszącą u twych nóg. Nie mogłabym wzlecieć do nieba i zatrzymałabym cię przeto na ziemi wśród powszedniego brudu.“ To upokorzyło Władysława. Przyznał się, że był dotąd pysznym i podłym. Myślałem o wielkich czynach będąc rozkochanym w samym sobie. I Boga widziałem okutego w łańcuchy. Kląkł przedemną błagając mnie o miłosierdzie. Jam plunął w jego oblicze i złu (nie „złemu“) kazałem być dobrem, a dobru (nie „dobremu“) grzechem. Maryla odrzekła mu skromniutko: „Jeźliś pan marzył o sił nadużyciu, to tylko dla tego, że byłeś silnym. Silny najpewniéj działa wtedy, gdy jest sam. Tobie ludzkość zbawiać, a nie marnieć dla rodziny. Nie chcę mieć twéj przyszłości (nie „twoją przyszłość“) na sumieniu.“ Ale po Władysława uznaniu pełném skruchy i żalu za grzechy, że jedna tylko istota zdołała wytrzymać w samotności, a tę istotę ludzie nazwali BOGIEM, — że nam ludziom trzeba braci, trzeba rodziny ludzkiéj i ludzkiéj miłości, — że bez téj wpadamy w przepaść, — że w Maryli jest węzeł, co wiąże duszę z duszą; — po zaklęciu ostateczném, ażeby mu była litościwą, a spełniła swój obowiązek „boć wiesz, że źle człowiekowi samemu na świecie“ — zlitowała się nad nim.

„I stało się, że Władysław Marylę przed ółtarz zaprowadził, a w niebie stanęli przed Panem trzech aniołów: miłości rodzicielskiéj, wiedzy i miłości małżeńskiéj. Trzymając się za ręce i pochyliwszy głowy, rzekli: „O Panie przywiedliśmy do stóp Twoich ducha (nie „duch“) Władysława.“ I była radość u Ojca, który jest w niebiesiech.“

Takim jest wątek, na którym się osnuwa, wcale nie „powieść,“ jak autor mówi, ale obraz rozwoju rozsądku w mężczyznie, mającym już rozum. Jest to studjum szczęśliwie pomyślane, ale bardzo niedostatecznie i z ogromnym pospiechem wykonane. Ztąd powstała ta książka, za poważna, za trudna do czytania dla rozrywki, a za powierzchowna, za lekko traktująca rzecz dla nauki. Jest to spowiedź autora mimowolna, pełna ślicznych obrazów i śmiałych myśli, pisana stylem w ogóle jasnym i jędrnym. Jako dzieło sztuki jest potworem, w którym części nie zlane, ale mozajkowo zlepiane bez ogólnego planu, bez harmonji. Autor nie może niem „zwalczać skrajnych a zgubnych prądów,“ bo one ani nie są do zwalczenia, ani nie są zgubne. Jego dziełko owszém przyczynia się do rozprężenia ich, a w tém nie małą ma zasługę.

Najnowsza droga, na którą filozofia anabiotyczna obok myśli wprowadza uczucie, wiedzie dziś ludzkość w inne formy społeczne, niżeli te, które na dogmatach

się osnuły, a których ostatnim wyrazem i łabędzim śpiewem jest: siła przed prawem. Na dzisiejszéj chorągwi filozofji błyszczy zasada: „rzeczy żywe mierzyć miarą żywą, a rzeczy martwe miarą martwą,“ Read, który autorowi „Władysława“ wydał się zbawcą w badaniach filozoficznych, nie stoi jeszcze na téj wysokości, a w skutek tego i autor idący jego śladem plącze się jeszcze w „objawieniach“ i „grzechu pierworodnym“ według niedorozumowanych dawniejszych pojęć. Dla tego też definicje autora o prawdzie (str. 225) chromają. Udatném jest za to zestawienie i pogląd na szkoły filozoficzne, a mianowicie Spinozy i Leibnica, które gruntowniéj autor poznał. Myli się autor twierdząc że: „dziś ci nawet, i ci właśnie, co najgłośniéj słowa Boga powtarzają, nie pojęli ducha słów.“ Owszém ci właśnie są jak Spinoza konsekwentnymi aż do absurdum, jak są konsekwentni z ich własnego obozu i prawodawcy dzisiejsi w Berlinie. Szczęśliwszy za to jest autor w swych poglądach na historjozofję. Obrazy jego o Rusi są pełne fantazji i miejscowego uroku. Szkoda tylko, że za luźne, za urywkowe, niedostające do całości, za niecierpliwie szkicowane.

Ze zasłużonych pochwał uzna autor, żeśmy uwzględnili jego wskazówkę dla krytyków: „A gdy ujrzysz jakie jaskrawe błędy i sprzeczności w dziele myśliciela, to staraj się o to, byś nie baczył na słowa, jedno na pojęcia ukryte po za słowami“ (228. 229.). Żałujemy, że musimy zwrócić uwagę czytelników i na słowa. Znajdą się tacy, co odstręczać zechcą od czytania téj książki dla tego, że autor nie umie dostatecznie po polsku, że nie zna gramatyki, że nie dwa, ale przeszło 150 jest błędów do poprawienia przed czytaniem. Są to arcy-niemiłe usterki, często odstraszające nawet od najznakomitszych myślicieli, ale jakkolwiekbądź, trzeba brać rzeczy takiemi, jakiemi już są, a to rzecz, mimo to, dobra dla obfitości myśli. Z tego to powodu zalecamy ją mianowicie młodzieży. Słusznie bowiem zauważa autor, że: „dobrze to, kiedy młody marzy o niezwykłych przeznaczeniach, gardząc tuzinkową tkaniną życia powszedniego. Wyryje on sobie głębokie koryto, którém spokojnie do morza popłynie, a zbyt spokojne źródło łatwo zniknie sącząc, czy to przez piasek, czy przez rynny (nie „ryniaki“). Zbyt rozsądny za młodu łatwo staje się (na swoje i innych nieszczęście) egoistą.“ Myśląca młodzież znajdzie w téj książce swój obrazek umysłowy, zajmujący; otrzyma częstokroć zdrowy pogląd na swoją przeszłość ze szkół wyższych i na pierwsze kroki w obywatelskiém życiu. Myślącym zaś rodzicom i psychologom posłużyć może za wskazówkę, że młodzież nasza nie w jednym tylko dąży kierunku.

W. hr. C.

TEATR

Z wyborowego repertoaru ostatniego tygodnia wybieramy do dzisiejszéj recenzji „Otella“, tragedja ta bowiem należy do rzędu najgłębszych dzieł wielkiego Shakespeara.

Otello napisany w ostatnich latach życia swego autora, przedstawiony był na scenie po raz pierwszy 1613 roku, w 9 lat zaś późniéj, już po śmierci wiekopomnego dramaturga, doczekał się pierwszego wydania.

Komentatorowie Shakespeara podają rozmaite źródła, najpewniéj jednak treść do Otella zaczerpniętą została z włoskiéj nowelli Cinthio i kryminalistycznéj opowieści angielskiéj God's Revenge against Adultery, którą to treść doprowadził Shakespeare do szczytu najwznioślejszéj tragiki, wywierającéj doniosły wpływ i głębokie wrażenie.

W tragedji téj rozwijają się trzy odrębne, należące do różnych kategorji charaktery, których obrobienie jest szczytem wykończenia aż do najsubtelniejszych tajników duszy ludzkiéj.

Otello sam, to wzór bohatera. Niezależnie od wojennych czynów, jest on nim przez tę męzką siłę, świadomość swéj prawości, która każden jego czyn, każde słowo znamionuje powagą i spokojem. Takim jest on w założeniu i takim być winien na scenie od chwili pierwszego występu w obec miotanego gniewem Brabantia, takim jest w obec sądu, gdy przyjmuje dowództwo nad wenecką flotą i opowiada sposób, w jaki rozbudził miłość w sercu Dezdemony. Opowiadanie to winno nawet nosić cechę tego rodzaju naiwności, jaką posiadają podobne prawdziwie męzkie natury. Słowem, uroczysty spokój towarzyszy Otellowi aż do chwili, kiedy niecne intrygi Jagona zasiały w sercu jego ziarno zwątpienia i coraz to wzrastających podejrzeń.

Wątpiąc nawet nie przestaje Otello być panem siebie na zewnątrz, niepokój jednak wewnętrzny trawiąc gorącą pierś jego toruje sobie coraz to szerszą drogę, uwydatnia się chwilami ponurym tonem mowy i bardziéj żywą, ucinaną akcją.

Przychodzi nareszcie owa fatalna scena z chustką, która nie mając nawet pozoru usprawiedliwienia, jest jedyną, lecz bardzo słabą stroną tragedji. Emilja oddawszy ją w ręce Jagona, milczy o tém bez najmniejszego uzasadnienia w chwili nawet, kiedy straszna groza z tego powodu zawisła nad głową Dezdemony. Ta, nie umiejąc stanowczo uspokoić Otella, nadaje podejrzeniom jego siłę pewnika. Teraz powikłanie stawszy się dzięki usilności Jagona i milczeniu Emilji zupełném, wchodzi na wyżynę kulminacyjną, na któréj łamie się Otello i konwulsyjnemi skokami rozjuszonego tygrysa podąża w otchłań rozwiązania. Przedostatnia scena z żoną w akcie 4 i rzewny płacz jest łabędzim jego śpiewem — zguba Dezdemony zadekretowana. Otello w sypialni żony na chwilę przed spełnieniem krwawego czynu jest obrazem majestatu nieopisanéj boleści. Postanowienie jego jest nieodwołalne. Słowa ostatniego monologu, to krople krwi serca, padające na mózg jak żar piekielny...

„Gdy cię kochać przestanę, chaos zapanuje nademną“ — słowa te, które powiedział Otello do Dezdemony, stają się czynem. Z rykiem wściekłego lwa rzuca się Otello na żonę i dusi ją.

Stało się... lecz nie przez zazdrość, ale przez pomstę domniemanie splamionego honoru. Nad pospolitą, podłą nawet namiętność zazdrości, wyższym był Otello o całą potęgę męzkości. Mając dobrze choć niesprawiedliwie uzasadnione przekonanie o występku żony, postąpił z nią, jakby w danym razie wielu postąpiło — udusił ją z racji wyroku zdeptanego uczucia i zhańbionéj czci.

Czynnikiem tragicznym utworu tego nie jest zazdrość, jak fałszywie wielu krytyków utrzymuje, lecz brudniejsza jeszcze namiętność, któréj przedstawicielem jest Jago.

Namiętność tę, któréj niestety tak wielu oddaje się ludzi, spotkać łatwo na każdym kroku; nurtuje ona i wichrzy dokoła każdego z nas, czyniąc niesłychane krzywdy. Zniesławia dobre imię, targa się na cześć i honor, podkopuje powagę, niweczy zasługę i szlachetne zamiary — słowem, wypowiada śmiertelną walkę wszelkiéj wyższości. Namiętność ta nędzniejsza od wszystkich

innych, jest nierozłącznym przymiotem mierności — jéj miano zawiść.

Jago, to piękny z pozoru krzak aloesu, pod którym kryje się jadowita żmija. Kąsa ona i truje z kolei wszystkich: Cassia, bo piękny, waleczny i o stopień wyższy od niego w hierarchji wojskowéj: Otella, bo wielki sławą i charakterem; Dezdemonę, bo wielka miłością i szczęśliwa — własną nawet prześladuje żonę, bo stokroć szlachetniejsza od niego, bo podniosła istnie kobiécą naturą.

Działalność demoniczna Jagona ślepe zadaje razy — wszystko mu jedno, jak i gdzie uderza, byleby uderzać wyższość, któréj znosić nie może. Jago nosi na sobie wszelkie pozory dobroduszności i dobréj woli. Jago, to nie historyczna Nemeza uosobiona w Ryszardzie III, nie wyrafinowane systematyczne łotrostwo Franciszka Moora, to nie Wurm mszczący się wzgardzonego uczucia, ani Muley Hassan popełniający zbrodnie dla miłości zbrodni — ani tém mniéj potęga wszechstronnéj negacji Mefista. Jago to tylko wykonawca kategorycznego rozkazu zawiści.

Pan Fiszer, grający tę rolę, nie stanął na wysokości zadania, zapatrywał się bowiem na swoją postać z trochę niewłaściwego stanowiska. Traktując Jagona jako zwykły t. z. czarny charakter, ujmuje się to, co w nim jest najgłówniejsze — abstrakcyjny czyn. Ponure charakteryzowanie intonacji i nadanie powierzchowności odstręczających pozorów jest zgoła niestósowne i osłabia rzecz główną t. j. to, co Jago robi. Zewnętrzność jego powinna stać w stosunku odwrotnym do wewnętrznego demonizmu, powinna łudzić. Inaczéj trudno pojąć, dla czego taki lucyperowaty chorąży mógł wywierać tak silny wpływ na szlachetnym Otellu.

Ten ostatni znalazł w p. Leszczyńskim równie starannego jak umiejętnego przedstawiciela. Zdaje nam się, że większéj pochwały niepodobna udzielić myślącemu artyście, jak przyznając mu, że rzecz swoją zrozumiał poprawnie, a to co rozumiał, wykonał z głębokiém przejęciem się każdą sytuacją i podług prawideł artyzmu. Być może, że przejścia nie wszędzie łamały się na punktach wytkniętych na ogólnym planie — zasadniczy ton jednak utrzymał się harmonijnie od początku do końca, a takie sceny jak przed sądem, jak ów wybuch łez rozpaczy i akt zemsty spełniony na Dezdemonie, były zgodne w najwyższym stopniu z psychiczną prawdą.

Panna Henryka Bendówna w roli Dezdemony była uroczym zjawiskiem, postać ta jednak głęboka, słodka i niebiańsko-łagodna wymaga niezmiernie swobodnéj gry i wielkiéj miękkości tak ruchów jak głosu, żeby zajaśnieć w całéj pełni kobiecego ideału. Młodziuchna artystka, obdarzona hojnie darami przyrody, zwalczała usilnie a często skutecznie rozliczne trudności swojego zadania, w drugim mianowicie perjodzie, kiedy wybuchy męża znosi Dezdemona z całym heroizmem cierpienia. Najzupełniejsze uznanie należy się pięknie odegranéj scenie przedśmiertnéj. Bojaźń śmierci, łkania i przybierane pośród téj krytycznéj chwili pozy, były prześliczne.

* * *

Ostatniego wieczora dawano konkursową komedję Józefa Narzymskiego p. t. „Epidemja“ o któréj autor niniejszego podał obszerne sprawozdanie w korespondencji z Krakowa, zamieszczonéj w num. 11 „Tygodnika“ z zeszłego roku.

Teraźniejsze przedstawienie przyniosło zaszczyt autorowi i wybornym tłómaczom jego myśli — krakowskim artystom.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Pod napisem „Les peuples de la famille Slave“ zamieszcza wychodzący w Paryżu organ p. Andrassy'ego „Mémorial diplomatique“ rozprawę, z której przytaczamy tu mały ustęp dla zapoznania naszych Czytelników z potwornie dziwacznym sądem, jaki dzięki temu pismu rozchodzi się o nas po cywilizowanéj Europie. „Całéj rodzinie sławiańskiéj zbywa przedewszystkiém na zmyśle filozoficznym i krytycznym; otóż dla czego **Polacy** n. p. **nigdy nie wydali żadnego historyka.** W ogóle przyswajają sobie ludy sławiańskie z nadzwyczajną łatwością wszystkie obce narzecza; lecz głębokie studja lingwistyczne i dziejowe nie znajdują wśród nich wielu zwolenników. Tak w piśmiennictwie, jak w sztukach pięknych i rzemiosłach są Sławianie doskonałymi naśladowcami, ale natomiast brak im zupełnie zmysłu wynalazczego......“

* * *

— Wzmiankowane w Nr. 20 naszego Tygodnika, na str. 281, pismo słowackie nie nazywa się **Jež i Baba,** lecz **Ježibaba.** — Ježibaba, Jagobaba lub Jedubaba, była właściwie niegdyś boginią zimy w mytologji Sławian zachodnich, dziś zaś zeszła do rzędu jakichś duchowych straszydeł i w złośliwości swojéj wyrządza gdzie może ludziom psoty i szkody. Ježibaba z Raraszem i Schotkiem jest tak samo wyłączną własnością Czechów i Słowaków, jak zaczarowana i w krzew przemieniona królewna Kalina Białorusinów i Polaków. Sprostowanie powyższe zawdzięczamy p. Karolowi Rudloff z Lubeki.

* * *

Odezwa do miłośników rzeczy narodowych.

Muzeum narodowe w Rapperswyl stając się coraz większém ogniskiem pamiątek ojczystych, musi z natury swojéj być wiernym ich obrazem. Wszystko co cechuje indywidualność Polski, starannie zebrać i przechować jest posłannictwem tego Zakładu.

Cóż pomiędzy temi objawami jest bardziéj charakterystycznego od strojów narodowych wszystkich jéj dzielnic?

Zarząd Muzeum postanowił przedstawić w Sali etnograficznéj grupy wieśniacze z wszelkiemi pamiątkami i wyrobami miejscowemi, i w tym względzie uprasza ziomków, a mianowicie damy polskie, właścicieli ziemskich, proboszczów i duchowieństwo, aby raczyli na całym obszarze dawnéj Polski zbierać miejscowe stroje i wyroby, krajobrazy, dołączając w miarę możności opis zwyczajów i tradycji lokalnych, śpiewy ludowe, wiadomości statystyczne, słowem wszystko co cechuje miejscowość. Będzie to stanowić arcy-ważny materjał do dzieła etnograficznego poświęconego w Polsce, dotąd samym Polakom w wielu szczegółach nieznajoméj.

Ponieważ jest tu mowa o rzeczach nie mających związku z polityką, prawdopodobnie władze rosyjskie nie będą stawiać oporu i pociągać do odpowiedzialności zbierających.

We Lwowie pośrednikami Muzeum są: PP. Florjan Ziemiałkowski i Alfred Młocki, w Krakowie p. Wiktor Bylicki, w Wielkopolsce p. Maxymilian Jackowski w Pomarzanowicach. Wprost adresować można do Muzeum Historycznego w Rapperswyl przez Zurych (Szwajcarja).

Zamek w Rapperswyl 19 maja 1872.

Założyciel Muzeum: **Władysław Plater.** Konserwator: **F. H. Duchiński.**

— **P. Klemens Podwysocki** tłomaczy tom najnowszych poezji Wiktora Hugo p. t. „Straszny Rok.“

* * *

Sztuki piękne:

— Komitet warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych ogłosił trzy **konkursa: malarski, rzeźbiarski i architektoniczny**. Tematem pierwszego jest wymalowanie „Miłosierdzia“ — drugiego uplastycznienie „Wiary“, — trzeciego przedstawienie projektu „Zakładu zabawy publicznéj.“ Termin składania dzieł na konkurs oznaczono na 30 listopada r. 1872; premium za każde wynosić będzie 200 rs.

* * *

— W paryzkim pałacu przemysłowym wystawił pan **Rodakowski** portret, który w swym rodzaju jest jednym z najlepszych obrazów w tegorocznym salonie. Jest to młoda kobiéta, stojąca, obwinięta czarnym płaszczykiem z podszewką czerwoną. Jéj głowa przedstawia się prawie „de face“, a dwa wielkie pukle ciemnych włosów spadają po obu stronach aż na ramiona. Typ bardzo wyrazisty, oddany jest ze śmiałością. Strój poważny i nieco dziwaczny nadaje temu dziełu niezwykle szlachetne piętno. Dobrze wystudjowana głowa modeluje się prostemi i obszernemi rysami a rysunek obnażonego ramienia i ręki podtrzymującéj ubranie na piersiach, tchnie prawdą i dystynkcją. — Drugi obraz p. Rodakowskiego przedstawia „Zygmunta I, króla polskiego.“ Zwyciężony król rozruchami szlachty i intrygami królowéj Bony, każe ogłosić za pośrednictwem wielkiego hetmana Tarnowskiego wzburzonéj szlachcie reskrypt potwierdzający ich przywileje. (Wojna kokosza r. 1538). Scena odbywa się na tarasie pałacowym. Hetman tyłem do widza obrócony, ubrany w przepyszny strój z zielonego aksamitu, odczytuje reskrypt królewski panom, których widać na placu po przez rzeźby balustrady. Nieco w głębi siedzi stary król, zniechęcony i zrezygnowany. Udrapowany jest długą suknią z niebieskiego aksamitu, oblamowaną ciemném futrem; jednę rękę ma wyciągniętą, drugą podtrzymuje swą głowę. Królowa dumna z otrzymanego zwycięztwa, opiera się o tył fotelu i odwraca się z miną tryumfującą ku damom i dworzanom. Pomiędzy tymi ostatnimi, jedni się cieszą; drudzy, a w ich liczbie arcybiskup o wyniosłéj postawie, wydają się potrwożeni tém postanowieniem, które w saméj rzeczy miało się przyczynić do zguby ich ojczyzny. (Kr.)

* * *

— Bawiący w Rzymie rzeźbiarz **W. Brodzki** wykończył grupę złożoną z ośmiu figur i przedstawiającą „Ucieczkę z Pompeji.“ Młode małżeństwo na dzielnym rumaku ucieka przed rozpaloną lawą, matka tuli do piersi jedyne swe dziecię. Po prawéj stronie rumaka starzec, kapłan Irydy, biegnie, unosząc z sobą co mógł zabrać najdroższego z ołtarzy swych bogów. Nieco opodal młodzieniec podtrzymujący w swych ramionach na pół omdlałą swą narzeczoną.

* * *

— P. **Stanisław Lipiński** wykonał rzeźbę przedstawiającą „Opuszczoną.“ Dziewczyna to wiejska, stojąca oparta o słupek kamienny nad brzegiem rzeki; głowę schyloną oparła na ręce i patrzy na leżący u stóp jéj zerwany wianek, którego lada chwila porwać ma fala. Opadająca koszula odsłania szyję i ramiona, a krótka sukienka sięga tylko powyżéj kostek. — W draperji lekkość i prawda — w postaci całéj tętni życie, a na twarzy rozlana dziwna smętność i głębokie uczucie.

* * *

— Nową operę księcia **Poniatowskiego** p. t. „Germina“ przedstawiono po raz pierwszy w londyńskim Covent-Garden.

POKŁOSIE.

Bibliografja zagraniczna:

— **Böhmer dr. Heinrich.** „Geschichte der Entwickelung der naturwissenschaftlichen Weltanschauung in Deutschland.“ Gotha. Besser, 1872. Zajmuje się wpływem nauk przyrodniczych na rozwój umysłowy i literacki Niemiec, przemianą wyobrażeń i poglądów na naturę w dobie romantyzmu (1800—1815), wreszcie obecnym stosunkiem tychże nauk do życia. (Św.)

— **Borkheim, L.** „Partheien und Politik des modernen Russlands“, — przekład z angielskiego.

— **Dandet, Ernest.** „Fleur de péché.“ Autor dał się uwieść zwodniczéj ponęcie złego kierunku, jakiemu obecnie ulegają pisarze mniéj dbali o opinję czytelników lepszego smaku. We „Fleur de péché“ widzimy kobietę, oddającą się niejako przez ciekawość mężczyźnie, którego przecież nie chce zaślubić; prowadzącą następnie bezwstydne życie zalotnicy, późniéj wyzyskiwaną przez pobłażliwego męża, a nareszcie skaraną na własnéj córce. Opowiedział to wszystko p. Dandet w takiéj dozie stylistyki, na jakąby się właśnie zdobyć potrzeba było, by być doczytanym do końca.

— **Detlef, Karl.** „Schuld und Sühne.“ Ein russischer Sitten-Roman.

— **Grünhagen, Dr.** „Die Hussitenkämpfe der Schlesier“ 1420—1435.

— **Jessen, Dr.** U Cohen'a i Hirsch'a w Hannowerze wyszło niedawno dzieło pod tyt.: „Fizjologja myśli ludzkiéj“ przez sławnego lekarza obłąkanych, Dra Jessen w Hornheim. Z ciekawością oczekujemy, jaką krytykę wydadzą ludzie fachowi, fizjologowie i filozofowie psychologiczni, o jego stanowisku naukowém i wywodzie pozytywnym. Wierzymy najmocniéj, że ta praca w przedmiocie przeważnie zajmującym, jest sumienną, poważną, opartą na doświadczeniu i badaniach najściślejszych. Autor od dawna już dowiódł dziełem: „Zasady fizjologiczne“ swojéj wysokiéj zdolności przeprowadzania metodycznego spostrzeżeń, dotyczących objawów umysłowych, które, pomimo wszelkiego postępu nauki, dotychczas tajemnicą pokryte, są jabłkiem niezgody między badaczami. Każdy człowiek myślący uzna ważność odnoszących się do téj kwestji zagadnień. Ona bowiem jest punktem wyjścia; z jéj rozświecenia wypłyną prawdziwe pojęcia o naturze i warunkach myśli, co nie ograniczy się tylko do znaczenia teoretyczno-naukowego, ale przejść będzie musiało na pole praktyki i ujawnić się w zasadniczych warunkach życia społecznego, to jest w państwie, religji, wychowaniu, naukowości i t. d. Jedynie tylko postępom antropologji czyli głębszemu zbadaniu organizacji fizycznéj i duchowéj człowieka zawdzięczamy korzystne zmiany, jakie zaszły w nowszych czasach, w prawach przysługujących człowiekowi i ludzkości. Dawniejsza psychologja filozoficzna, albo abstrakcyjna nauka o duszy, podobnemi rezultatami pochlubić się nie mogła, albowiem bujała w powietrzu, to jest w dualizmie, uważając zdolność myślenia za coś zupełnie odrębnego i różniącego się od objawów organicznych. Dopiéro kiedy fizjologja nowoczesna poczyniła w funkcjach mózgu i nerwów ważne odkrycia, i wykazała nierozerwany związek, jaki zachodzi w zjawiskach fizycznych a umysłowych, i psychologja nabrała podstawy realniejszéj. Na tym to właśnie gruncie stoi Dr. Jessen, i o poglądzie swoim, jako o nowym, wyraża się następnemi słowy: „od-

krycie to jestem główuie winien badaniu chorobliwego stanu mowy; mianowicie, że powstawanie myśli i wyrażenie jéj wewnętrzne nie jest jedném i tém samém zjawiskiem, tylko stanowi dwa osobne, względnie samodzielne działania umysłu, prawdopodobnie odpowiadające różnym częściom mózgowia.“ Tyle o zawartości dzieła, w szczegóły w tém miejscu wchodzić nam niepodobna; powiemy tylko, że autor stawia tę najgłębszą i najzawilszą kwestję w formie jak najodpowiedniejszéj, i obrabia ją stylem pociągającéj jasności. (P. T.)

— **Josseau, J. B.** „Traité du Crédit foncier.“ — W chwili zwrotu ogólnéj uwagi ku kwestjom ekonomicznym, drugie wydanie, znacznie powiększone, dzieła p. Josseau, ma za zadanie przyniesienie rzeczywistéj usługi każdemu, któryby sobie chciał zdać sprawę z urządzeń kredytu na nieruchomości i tyczącego się go stanu prawodawstwa. W ślad za rzeczą o właściwym kredycie na nieruchomości, następuje rzecz o kredycie rolniczym, oraz o kredycie na nieruchomości w kolonjach. Autor zebrał w tych dwóch tomach wszystkie odnośne do przedmiotu dokumenta.

— **Neruda.** „Obrazy z ciziny.“ Są to szkice podróży na Wschodzie i Węgrzech, spisane w języku czeskim.

— **Pilz, Carl, Dr.** wydaje dalszy ciąg swoich „Gesammelte Beiträge zur Förderung des Erziehungs und Unterrichtswesens.“ — Autor będąc jednym z najskrzętniejszych pedagogów tegoczesnych, ogłasza cały szereg wybornych rozpraw, dotyczących szkólnéj i domowéj edukacji.

— **Preusker, Karol.** „Lebensbild eines Volksfreundes.“ — Jest to biografja własna, napisana przez Karola Preusker'a, poborcę skarbowego w Grossenheim. Od r. 1786 do 1871. Autor znakomicie się przyłożył do oświaty ludowéj, wpływając na urządzenie pożytecznych zakładów, jak n. p. Stowarzyszeń rzemieślniczych, bibljoteki dla ludu, szkół niedzielnych i rzemieślniczych. Można o nim powiedzieć, że wszędzie wybijał nowe szlaki. Obok tego wielce się zajmował poszukiwaniami starożytniczemi; pisma w tym przedmiocie ogłaszane, wprowadziły naród na dziejową drogę oświaty. Dzieło powyżéj wspomniane jest zapewne ostatniém pożegnaniem tego męża.

Skrzynka do listów.

— P. A. Rychter w Nagy Enyed: Tygodnik został dla Pana zamówiony i zapłacony do końca b. r. t. j. do 1go stycznia 1873 r. Zalegające numera już wysłaliśmy.

P. K. B. w Kr.: To nie. Może co innego.

Od Wydawnictwa.

Szanownych prenumeratorów prosimy, aby z nadchodzącym nowym kwartałem spieszyli z odnowieniem zamówień — każde bowiem spóźnienie sprawia nam wiele niedogodności.

Z dniem 1go lipca zaczynamy druk zajmującéj rozprawy **Alfa Szczepańskiego** p. t. „Historja szkół i wychowania w Polsce od najdawniejszych do najnowszych czasów.“ Ponieważ rozprawa ta ważną jest także dla pp. Nauczycieli, to chcąc im ułatwić możność czytania jéj, ofiarujemy wyjątkowo dla nich „Tygodnik“ nasz na kwartał trzeci od lipca do października za zniżoną cenę 17½ sgr. resp. 1 fl. w. a. — Zgłaszać się jednak winni pp. Nauczyciele tylko wprost do Wydawnictwa „Tygodnika Wielkopolskiego“ w Poznaniu, Ulica Fryderykowska Nr. 27.

* * *

Druk **książki pamiątkowéj** naszego wydawnictwa, do któréj mamy już zupełny komplet wyborowych artykułów tak z dziedziny nauki jak belletrystyki, rozpoczynamy 1go lipca i roześlemy ją przedpłacicielom w połowie września, w którym to miesiącu przed stu laty, zaborcze mocarstwa złożyły deklaracje swych domniemanych pretensji do naszych prowincji.

OGŁOSZENIA.

Nakładem księgarni **F. H. Richtera** co tylko opuściło prasę i jest do nabycia we wszystkich księgarniach w Poznaniu i na prowincji:

Poradnik domowy homeopatyczny

podający wskazówki leczenia chorób na podstawie homeopatji w nieobecności lekarza przez **Marcellego Dłużniewskiego.** Cena 1 tal. 20 sgr. (52)

Za pośrednictwem **Tygodnika Wielkopolskiego** nabyć można:

Tomus Secundus
Juris Regni
Poloniae

ex

Statutis et Constitutionibus ejusdem Regni, et M. D. L.

collecti et Additionibus ex Jure Civili Romano, Canonico, Saxonico, ex Constitutionibus Provincialibus Gnesnensibus et Diaecesanis aucti, Historiisque illustrati.

In tres Libros partiti

a

Nicolao Zalaszowski J. V. D.

et quondam in Universitate Cracoviensi actuali Professore, Archidiacono Posnaniensi, in lucem publicam editi. Anno Domini 1702. 2da Decembris. Posnaniae Typis Academicis. — Brak ostatnich stronnic; zresztą nie źle zachowany egzemplarz, — za 1 talara. (21)

„ŚWIT“

tygod. naukowy, literacki i artystyczny wychodzi co sobotę we Lwowie, w ozdobném wydaniu, we formie $1\frac{1}{2}$ arkusza in 4to. (54)

Prenumerata w W. Ks. Poznańskiém wynosi rocznie 5 tal., półrocznie 2 tal. 15 sg., kwartalnie 1 tal. 8 sg. Przesyłać ją należy wprost do Redakcji „Świtu“, Ul. Wałowa Nr. 19.

Na oświatę ludu!

KSIĘGARNIA POLSKA we Lwowie. 12, ul. Kopernika, dawniéj Szeroka), wydaje swoim nakładem w polskim przekładzie

DZIEJE POWSZECHNE
Fr. Ch. Szlosera,

z którego to wydawnictwa całkowity czysty dochód, mający wynosić 17 tysięcy złr., a w pomyślnym razie, przy większym udziale publiczności, przeszło 50 tysięcy, przeznacza się na oświatę ludu.

„DZIEJE POWSZECHNE“ Fr. Ch. Szlosera rozpoczną wychodzić w miesiącu październiku b. r. i nieprzerwanie będą wychodziły po 2 zeszyty na miesiąc aż do ukończenia dzieła. Każdy zeszyt zawierać będzie 6 ark. druku czyli 96 str. dużéj 8ki. Cena zeszytu oznacza się na 35 centów tylko!

Przedpłata na całe dzieło z 96 zeszytów wynosi we Lwowie **33 złr. 60 c.** z przesyłką w Austrji **35 złr. 52 c.** W Prusach **24 tal.**, we Francji **125 franków.** Po wyjściu z druku cena będzie podniesioną do **50 złr.**

Uprasza się o nadsyłanie przedpłaty na całe dzieło, w ten sposób bowiem wiele ułatwi się wydawnictwo.

Przedpłatę można składać częściowo. Płaci się z góry za ostatni kwartał wydawnictwa i za pierwszy, a następnie w każdym kwartale odnawia się przedpłata z wyjątkiem już opłaconego ostatniego kwartału.

Przedpłata kwartalna wynosi we Lwowie **2 złr. 10 c.** z przesyłką w Austrji **2 złr. 22 c.**, w Prusach **1 tal. 15 sgr.**, we Francji i innych krajach **7.50.**

Uprasza się o wczesne nadsyłanie prenumeraty, abyśmy mogli obliczyć ilość nakładu, a wiele na tém zależy, gdyż dodrukowywanie potém pociąga za sobą osobne koszta.

Prenumeratę nadsyłać należy pod adresem: (39)

Do Księgarni Polskiej, 12. ul. Kopernika we Lwowie.

Od 7go Lipca 1869 roku wychodzi w **Krakowie**

DJABEŁ

czasopismo ilustrowane satyryczne.

Prenumerata kwartalna w Wielk. Ks. Poznańskiém wraz z przesyłką wprost z Redakcji sgr. 22.

Prenumerować można także we wszystkich urzędach pocztowych pruskich i niemieckich po sgr. $22\frac{1}{2}$ kwartalnie. (15)

1000 morgów łąk

wraz z (56)

cegielnią,

położonych 20 minut drogi od dworca kolei Wrocławsko-Poznańskiéj, są do wydzierżawienia na lat 15, pod bardzo korzystnemi warunkami. Bliższe szczegóły udziela **Bank Rolniczo-Przemysłowy Kwilecki, Potocki i Sp.**, Filja Wrocławska.

Zaproszenie do przedpłaty na

ZIEMIANINA.

Ziemianin, tygodnik rolniczo-przemysłowy, organ Centralnego Towarzystwa Gospodarczego dla Wgo Ks. Poznańskiego, wychodzi co sobotę w Poznaniu, w formie wielkiego arkusza in 4to. Pismo to, liczące **dwadziescia i dwa lat** istnienia, podaje artykuły oryginalne, korespondencje rolnicze i najnowsze rzeczy z rolnictwa i przemysłu **z rycinami.**

Ziemianina zapisywać można we wszystkich urzędach pocztowych, albo téż przesyłając prenumeratę wprost do Redakcji w Poznaniu, ulica Kozia Nr. 11. — Cena kwartalna w Prusach 1 tal.; w Austrji 1 złr. 75 cent. — rocznie 7 złr. (57)

Wszelkie nawozy sztuczne

po cenach umiarkowanych ofiaruje (51)

Bank Rólniczo-Przemysłowy
Kwilecki, Potocki i Sp.

Dodatek.

Dodatek nadzwyczajny do Nr. 26 „Tygodnika Wielkopolskiego.“

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

Arturowi żal, rozpacz, wściekłość i zazdrość ścisnęły gardło tak, że słowa wykrztusić nie mógł. — Wszystkie marzenia jego rozprysły się jak szkła kawałek rzucony na kamienie. Miłość jego, nieobecnością, tęsknotą, marzeniami bujnéj wyobraźni podniesiona do najwyższéj potęgi, w chwili tego pierwszego udręczenia, zawrzała jak potok, gdy na przeszkodę trafia. Artur tak przyszłość całą połączył z ukochaną, że życia bez niéj nie pojmował, a śmierć bez jéj uścisku, zdawała mu się czémś okropném. Wiadomość o jéj zgonie byłby może z mniejszą przyjął rozpaczą. Byłby tylko postanowił sam zginąć jak najprędzéj. Ale wiedzieć, że ją posiadać ma inny, że te drobne rączki innego obejmą za szyję, że te usta karminowe na ustach innego spoczną, ta pierś przy innéj drżeć będzie piersi... to była męka piekielna, zwłaszcza w człowieku jak Artur, który nauczył się wszystko zawsze osiągać i zwyciężać zawsze.

Chwila to jednak była krótka. Wrodzona energia wróciła. Niemogąc koni wynająć Artur kupił jakąś szkapę niemiecką, i w godzinę potém siedział na chudym Rozynancie.

— Źle robisz Arturze, — mówił mu Alfons, gdy konia siodłano — złapią cię na granicy z pewnością.

Artur machnął ręką i odkrywając kurtę pokazał dwie kolby rewolwerów zatkniętych za pas skórzany.

Potém milcząc ścisnął przyjaciela za rękę i kłusem puścił się po nierównym bruku małego miasteczka.

Zadziwić może względny spokój i zimna krew Artura w takiéj chwili. Pochodziło to najprzód z wychowania i życia a bardziéj jeszcze ztąd, że Alfons powiedział: „panna Pęczkowska ma iść za mąż.“ Więc fakt nie był jeszcze spełniony, nie znikła ostatnia nadzieja... może to pogłoska tylko, może plotka jak tyle innych.

Od Licbarku do granicy nie daleko, ale od granicy do Karlina, trzy mile opętane, przez lasy, kolonie i pustki.

Artur mijał to wszystko nie spotkawszy ani pozoru kozaka lub objeszczyka. Naraz w połowie drugiéj mili od granicy, ściągnął konia aż przysiadł i zatrzymał się w miejscu. Miejsce to było w boru, a drogi rozchodziły się tu we dwie strony. Jedna z nich na prawo prowadziła do Karlina, druga na lewo do Staréj wsi.

Arturowi w téj chwili dopiero, gdy tę drogę dobrze sobie znaną zobaczył, przyszła nieprzezwyciężona ochota jechać od razu do Piotrowiczów. Rozsądek napróżno mu szeptał, że jest zanadto rozdrażniony, niespokojny, że wreszcie zanadto jest strudzony i zmęczony fizycznie trzydniową podróżą, by w tém usposobieniu i stroju odwiedzać dom poważny przyzwoitość pozwalała.

Artur jednak jak wiemy, nie umiał się opierać zachceniom własnym. Jak bogaty Anglik, robił on zawsze co chciał, jak chciał i kiedy chciał.

— W domu się niczego nie dowiem — mruknął nareszcie — Antoni w więzieniu... zresztą, muszę ją zobaczyć... muszę przedewszystkiém...

I koń silnie ściągnięty, skoczył na lewo i popędził ku Staréj wsi.

Wczesny zmrok styczniowy zapadł już prawie, gdy zdyszana i spocona szkapa niemiecka przyniosła Artura przed dwór Staro-wiejski. Człowiek ten, który nigdy nie zmrużył oka w obec lufy pistoletowéj przeciwnika, który w obec tłumu żołdactwa rozwścieczonego stał uśmiechnięty i spokojny, człowiek ten, drżał w téj chwili i serce mu biło gwałtownie... człowiek ten, bał się po prostu... Już przed samą wsią, chciał zawrócić i jechać do Karlina, ale na wspomnienie słów Alfonsa, na myśl o Poli w objęciach Adamskiego, krew mu uderzała do głowy, a wyłamana w lesie gałąź znów spadała na biednego konia.

Pusto było i cicho na dziedzińcu Staro-wiejskim, jak wtedy, gdy tu po raz ostatni przyjechał, ale drzwi były otwarte. Piotruś jednak nie zjawił się tym razem, nie było żywéj duszy.

— Czyżby ich znowu w domu nie było?... czyżby?... i nie śmiał myśli dokończyć... i poczuł jak krew cała zbiega się do serca i głowy... Zesiadł więc z konia, przywiązał do słupa, i wszedł do sieni. Sień była pusta — odchrząknął, nikt nie odpowiedział. Artur wszedł do salonu... I tam pusto, a zmrok już zaciemniał kąty obszernego pokoju. Artura przerażała ta cisza i pustki. Lotna jego wyobraźnia stworzyła w téj chwili z błyskawiczną szybkością cały szereg strasznych, okropnych widziadeł. Pot zimny oblewał mu czoło... Chwilę się zatrzymał, potém ostrożnie, powoli, przeszedł do drugiego pokoju, do owego saloniku, w którym poznaliśmy Polę, w którym ostatni raz z nią rozmawiał. Gdy i tu nikogo nie było, posunął się daléj... Z wiedzą czy mimo wiedzy, szedł on tą samą drogą, którą go w pamiętnym dniu owym prowadził mały Piotruś.

Tak przeszedł jeszcze trzy pokoje i stanął we drzwiach otwartych czwartego... Od pierwszego rzutu oka, poznał sypialnię majorowéj. Wszystko w niéj było jak wtedy, gdy ów list pisał, nawet ta sama książka leżała przy krzyżu drewnianym... I tu żywéj duszy nie było, ale z drugiego pokoju, z pokoju Polci, przez drzwi przymknięte ale nie zamknięte, przeciskał się wązki pasek bladego światła i jak złoty sznurek błyszczał na ciemnéj ścianie

Artur się zatrzymał.

— Kto tam jest?... dla czego ta cisza grobowa w domu całym i w jéj pokoju?... dla czego to światło przysłonięte?

Ów niepokój, ów strach, któremu, w obec niewiadomego nieszczęścia, ulegają najodważniejsi nawet, zwiększał się coraz bardziéj. Artur pędził do Staréj wsi, pełen rozpaczy, ale pełen żalu do niewiernéj... Przypuszczał jakąś intrygę, ale przypuszczał i zdradę kochanki... a w téj chwili owionięty tą atmosferą grobową, czuł tylko niewypowiedziany niepokój, przewidywał nieszczęście straszne...

Raptem, usłyszał w drugim pokoju szept cichy,

nadstawił ucha, ale żadnego słowa dosłyszeć nie mógł... Szept ustał, Artur chciał chrząknąć, nogą posunąć... ale w téj chwili zabrzmiał głos wyraźny, smutny, łez pełen, głos mu dobrze znany, ale jakby z grobu wychodzący...

— Arturze — głos ten wołał — Arturze... przebacz mi... przebacz... jam niewinna... to on... oh! on... wymawiając „on“ głos zamienił się w krzyk jakiś pełen gniewu i nienawiści...

— Boże mój!... znów maligna — szepnął głos inny...

— Uspokój się dziecię moje!... głośniéj nieco odezwała się trzecia osoba, i słychać było szmer lekko poruszonego krzesła.

— Oh!... ja będę spokojna Babciu — zabrzmiał znów głos ten co pierwéj, ale łagodny tym razem i jakby proszący — tylko mi powiedzcie, że to był sen... ten... ten... ślub... ten... nieprawda...

Artur zadrżał... poznał on głos dawno, a ostatni wyraz odsłonił mu część prawdy... pot zimny spływał mu z czoła.

— Ale tak... tak... Poleczko!... mówiła jedna z osób w drugim pokoju; tak... to był sen tylko... nic więcéj...

— Bo widzi Babcia... on przyjedzie... lada dzień przyjedzie i on mnie tak kocha... tylko przed ojczymem o tém sza!... ani słowa, moja Babciu!... bo onby go schował... podarł... jak list ten... oh... biedny Artur! podarty w kawałki... albo by go ożenił z tą księżną... jak ona się nazywa?...

Była chwila milczenia, a późniéj znów Pola jęknęła:

— Moja Babciu, jak się ta księżna nazywa?... tak tracę pamięć... oh!... no, jakże się nazywa — dodała głośniéj i z niecierpliwością.

— Ruspini — powiedziała Babka — ale

— A!... prawiła — Ruspini!... ale cóż mnie ona obchodzi? wszak jéj Artur nie kocha? nieprawdaż Babciu?... on jéj nie kocha?...

— Ale nie — nie moje dziecko.

— Ja zawsze tak myślałam... Ale niech mi Babcia jedną rzecz powie... czy ślub przez ojczyma dany jest ważny?... bo on ich ożenił... a w takim razie...

Tutaj Artur już zrozumieć nie mógł. Chora rzucała wyrazy bez związku, coraz cichszym, coraz niewyraźniejszym głosem. Nareszcie zamilkła i cisza znów zaległa w około, tylko w trzecim, czy czwartym pokoju, zegar ścienny szczękał regularnie.

Artur stał ciągle nieruchomy, wryty. Nie jęknął, nie krzyknął, nie poruszył ręką, może oko mu nawet nie drgnęło. Ze słów dosłyszanych, domyślił się on prawie wszystkiego... resztę przeczuł. Marzenia jego, zamiary, plany, cały ten gmach, który dusza ludzka młoda i energiczna buduje sobie i w nim szczęścia doznaje, rozpadał się w nim szybko, gwałtownie rozwiewał jak mgła, znikał i przepadał gdzieś w bezdennych przepaściach. Ani wtedy, ani potém Artur nie byłby w stanie określić tego, co czuł w téj chwili.

Gdyby w takim stanie śmierć przyszła, człowiek przeszedłby do wieczności nie domyślając się tego.

Ale wkrótce życie wróciło... fale krwi poruszyły się z większą jeszcze, jak zwykle. gwałtownością. W głowie Artura zaświtała myśl szalona. Porwać Polę, uciec z nią do Karlina i niech ją odbierają potem... party tą żądzą dziką, prawie szalony i obłąkany postąpił parę kroków i drzwi otworzył do pokoiku, gdzie chora leżała. Odgłos jego kroków zniknął na miękkim dywanie, drzwi otworzyły się nie wydawszy najmniejszego skrzypnięcia.

Kiedy Artur stanął we drzwiach, oświetlony niepewném światłem lampy, zasłoniętéj umbrelką, twarz jego wyglądała okropnie. Znać było, że ten człowiek gotów iść w téj chwili przez ogień i wodę, że ten szaleniec do zbrodni gotów. Na szczęście, żadna z osób będących w pokoiku, nie obejrzała się, a co więcéj, Artur się zatrzymał na progu i wpatrzył w obraz, jaki się przed nim rozwinął. Tyłem do drzwi, na wielkim fotelu, siedziała pani Zofia, milcząca, nieruchoma, z ręką na kolanie opartą, z twarzą opartą na dłoni. Gdyby ją Artur mógł widzieć z przodu, byłby zobaczył dwa strumienie łez cicho płynących po jéj wybladłych policzkach.

Nieco daléj, przy łóżku klęczała majorowa i w dłoniach swych trzymała rozpaloną rączkę wnuczki, która w chorobie swéj tylko od niéj przyjmowała starania. Na tle białych poduszek, leżała główka Polci, oczy miała zamknięte, czoło obwiązane chustką białą. Twarz jéj w cieniu, bladością swoją ledwo że się rysowała na poduszkach. Zdawało się, że to tylko przypomnienie téj dawnéj Poli, że to jéj szkic tylko rzucony na papier biały.

Artur stał długo... bardzo długo, patrząc na ten obraz, z oczyma wlepionemi w te niepewne rysy choréj, które ledwo dostrzedz było można z jego miejsca. W jego wnętrzu odbywał się znów jeden z tych przewrotów gwałtownych i szybkich, które tylko namiętne natury znają. Szalona wściekłość rozpłynęła się w jakieś szczęście miłości nieziemskiéj, idealnéj, czystéj jak błękit Nieba... W uczuciu tém była i miłość brata dla siostry, i uwielbienie wierzącego dla świętości, i uniesienie kochanka dla kochanki i cześć Danta dla Beatrycy. Pola przestała być dla niego kobietą, stała się ideałem, czarowném widziadłem, aniołem... myślą...

Niedowiarek ten i libertyn zgiął powoli kolana, klęknął, i wyciągnąwszy ręce w stronę chorego dziewczęcia, modlił się za nią, a raczéj do niéj.

W téj chwili Pola wypadkiem, lub może tknięta elektrycznym prądem, zawołała przez sen głosem czystym i dźwięcznym:

— Oh! jakżem ja szczęśliwa!...

Artur wstał, popatrzył chwilę jeszcze, i niewidziany, niedostrzeżony wyszedł. Przez ciemne pokoje kroczył zwolna, pełen bólu nieuleczonego, ale i tego uroczystego uczucia, jakiego doznaje człowiek po gorącéj a szczeréj modlitwie.

Naraz zatrzymał się przed drzwiami zamkniętemi... położył rękę na klamce, otworzył je i stanął jak wryty.

Artur zmylił drogę i wszedł do kancellarji Piotrowicza.

Wielka lampa paliła się na biórku, mecenas siedział tyłem do drzwi.

Artur się wstrzymał. Przeczuwał, domyślał się, że ma przed sobą mordercę Poli, człowieka, który mu odebrał więcéj jak życie. Rozpaczny spokój niknąć zaczął, a krew zawrzała na nowo.

— Kto tam? rzekł Piotrowicz, nie odwracając się wcale.

— Któż tam u djabła? powtórzył raz drugi a nieodbierając odpowiedzi odwrócił głowę.

Artur, słabo oświecony, w pół-świetle, na czarném tle drugiego pokoju, z ręką na klamce, z brwią zmarszczoną i zaciśniętemi ustami, w futrzanéj czamarce przepasanéj pasem, z za którego wyglądały rewolwery, wyglądał groźnie i mógł przerazić odważniejszego jak Piotrowicz. Ojczym Poli tymczasem, jak wszyscy mu podobni, był tchórzem pierwszego rzędu, mianowicie w obec fizycznego niebezpieczeństwa.

Ex-mecenas więc, w pierwszéj chwili skamieniał na ten widok i kilka sekund zeszło w głuchém milczeniu. Aż nareszcie porwał się i zawołał drżącym głosem:

— A! witam pana Dobrodzieja... serdecznie witam... dawno niewidzianego!... i kłaniał się bardzo nizko.

Ale Artur się nie odkłonił, twarz jego przybrała wyraz jeszcze groźniejszy, — milczał i stał. Piotrowicza rozpacz ogarnęła i wszelka komedja stała się dlań niepodobną.

— Co to?... co to znaczy?... wrzasnął głosem chrapliwym i skoczył za fotel.

Artur wtedy poruszył się i wolno zaczął się zbliżać ku niemu; oko jego pioruny rzucało.

Exmecenas zzieleniał. Oczywista śmierć była o krok od niego. Szybkim jak błyskawica rzutem oka obrzucił pokój i zobaczył, że nie ma dlań ratunku.

— Litości!... wrzasnął przeraźliwie i rzucił się na kolana, zawsze jeszcze próbując zasłaniać się fotelem.

Artur stał nad nim, rękę położył na poręcz fotelu, i jedném naciśnięciem postawił go na wszystkie nogi mimo rozpacznych wysileń Piotrowicza. Tak stojąc, popatrzył trochę na nikczemnika, a potém rzekł głosem stłumionym, ale którego znaczenie ojczym Poli doskonale pojmował.

— Czy ona po ślubie?

Piotrowicz milczał, ciągle na kolanach, a pot mu występował na łyse czoło. Bał się skłamać, bał prawdę powiedzieć.

— Mów pan prędzéj i prawdę — syknął Artur.

To „pan“ dodało trochę ducha starcowi.

— Ja... ja... nie wiem... to jest... rzeczywiście...

— Mów wyraźnie! do miljona!... i Artur tak silnie tupnął nogą w podłogę, że tchórzowi zdawało się, iż piorun weń uderzył.

— Tak... poszła za Adamskiego.

Artur wzdrygnął się, a palce jego wpiły się w drewnianą poręcz fotelu.

— Jakim sposobem zmusiłeś ją do tego?

— Ja jéj nie zmuszałem... jak Pana Boga ukrzyż...

— Mów prawdę!... wyszeptał Artur tym szeptem chrapliwym, który jak grzmot podziemny, zapowiada wybuch.

— Podobno gazeta jakaś napisała, żeś się pan Dobrodziéj ożenił...

— A do gazety tyś napisał... co?...

— Jak Boga ukrzyżowanego...

— Dla czegoś to zrobił?

— Ja nie zrobiłem...

— Nie kłam starcze!... Powiedz! za ileś ją sprzedał?...

I Artur prawą rękę oparł na rękojeści rewolweru, Piotrowicz sądził, że ostatnia chwila nadchodzi, i myśl mu przyszła, że trzeba gadać, bo to mu życie przedłuży.

— Gdyby pan Dobrodziéj pozwolił, — ale mars Artura powstrzymał go znowu — Adamski... dał... dał... trzykroć za dożywocie méj... méj żony... ale to przecież nie... nie sprzedaż...

— Głupi — szepnął Artur — byłbym ci dał dwa razy tyle — byłbym ci dał wszystko... bądź przeklęty... ty, dzieci morderco... i rzuciwszy na nikczemnika jedno z tych spojrzeń pogardy, za które człowiek honoru krwi żąda, Artur odwrócił się, wyszedł szybko i za chwilę pędził jak wiatr ku Karlinowi...

Mówiąc: jak wiatr, używamy zbyt śmiałego porównania. Zmęczony koń jego, ostatnie wysilenia robił, żeby choć kłusem nieść szalonego jeźdźca, a i to mu przychodziło z trudnością.

Dla Artura jednak było to wszystko jedno. Gorączka, co go wewnątrz paliła, ból, rozpacz, wściekłość, wymagały ruchu, ale czy ten ruch był szybszy, czy wolniejszy, tego zapewnie on sam nie oceniał. Machinalnie skierował konia na drogę do Karlina, ale nic go tam nie ciągnęło. Wiedział wszystko, niczego więcéj dowiedzieć się nie mógł. Noc zapadła, noc czarna, wietrzna, chmurna; deszcz ze śniegiem pędzony wichrem siekł go po twarzy, on ani czuł tego. W mózgu jego był chaos, w sercu ból, przed oczyma twarz blada Polci, i czasem skrzywiona fizjonomja Piotrowicza, albo płaska i niewymowna Felixa Adamskiego.

Ile planów, ile projektów, ile zamysłów szalonych przeleciało w ciągu tych trzech godzin drogi, przez tę głowę o płomiennéj wyobraźni!?

Nareszcie pierwsze chaty Karlina się ukazały i Artur ocucił się trochę. Uderzył konia tak silnie, że ten ostatnie wydobywając siły, skoczył i za chwilę podkowa zatętniała przed starym dworem.

We dworze tym ciemno było i cicho, ale zaledwie koń się zatrzymał, błysnęło światło, mignęło w kilku oknach, stanęło w sieni, a potém drzwi się dębowe otworzyły szybko, i na tle oświeconém odrysowała się wyniosła postać starego sługi.

Zatrzymał się jakby niedowierzając sobie, a potém rzucił się gwałtownie i wpół porwawszy siedzącego na koniu Artura, namiętnie ściskać go i całować zaczął.

Nawet w takim usposobieniu, w jakim był młody człowiek, objaw ten przywiązania poruszył go do głębi.

— Jak się masz stary — witał sługę — jak się masz...

Antoni zesadził, zniósł prawie ukochanego panicza z konia i szedł za nim do dworu, a serce poczciwcowi biło gwałtownie. Sądził on, że Artur o niczém nie wie, i włosy mu wstawały na myśl, że on mu ma straszną tę wiadomość powiedzieć. Łamał głowę nad tém, jakimby sposobem rozmowę można odwlec do jutra, żeby, jak rozumował, panisko choć odpoczęło po podróży.

Artur milcząc wszedł do pokoju, burkę zrzucił, a tymczasem Antoni zapalił lampę. Gdy światło padło na twarz Artura, stary sługa zadrżał. Twarz ta była o jakie lat piętnaście starsza.

Młody człowiek zaczął chodzić po pokoju jakby nie widząc Antoniego, starzec stał nieruchomy, nie wiedząc co myśleć, wpatrując się w panicza z niewymowną miłością.

Nareszcie Artur się zatrzymał i krótko choć łagodnie zapytał:

— Siedziałeś biedaku w kozie — kiedyż cię wypuszczono?

— Na drugi dzień po trzech królach... właśnie...

Artur znów zaczął chodzić i potém po raz drugi się zatrzymując, znów mówił:

— Listów moich nie odbierałeś?... zabrali je pewno Moskale...

— Nie... wybąknął Antoni głosem drżącym, bo czuł, że się stanowcza zbliża chwila.

— Nie?... dodał żywiéj Artur — więc je masz?... oddaj..

— Nie mam ich proszę Pana... oddałem.

— Komu oddałeś? gwałtownie zawołał Artur.

— Pannie... pannie Ap...

— Kłamiesz stary! — z wściekłością krzyknął młodzieniec — nie byłaby poszła za tego...

I słów mu brakło.

Stary sługa nawet nie spostrzegł obelgi niewinnéj, i tylko z przerażeniem zawołał:

— To panicz już wie o tém nieszczęściu!...

— Wiem, odparł surowo Artur — byłem w Staréj wsi... mów prawdę... całą prawdę...

Jąkając się, narzekając, mięszając wykrzykniki i przekleństwa, starzec opowiedział cały przebieg wypadków, całą swą rozmowę z Polą, indagację Piotrusia, słowem to wszystko, co już znamy.

Opowiadanie prawie uradowało Artura, myśl jego rozjaśniła się nieco... Więc rzeczywiście ona go kochała... kocha jeszcze!... więc słowa przez nieprzytomność szeptane były krzykiem jéj serca!... Ale zaledwie jakieś błyski pogodniejsze myśl jego zaczęły rozjaśniać, chłodny, zimny, nieubłagany rozsądek szepnął mu: „Cóż ztąd? to tylko idealna strona medalu, w rzeczywistości, w praktyce, ona jest żoną innego, jest na zawsze stracona dla ciebie!“

Na zawsze stracona!... Żaden piorun w chmurach spowity, żadne przekleństwo nie ma w sobie tyle ni-

szczącéj potęgi, tyle siły zabijającéj, jak dwa te okropne wyrazy dla człowieka co kocha.

Antoni skończył dawno opowiadanie, a Artur siedział milczący i dwa te wyrazy jęczały mu w uszach, rozdzierały serce, migały przed oczyma ognistemi zgłoskami.

— Zostaw mnie stary — rzekł nareszcie — dziękuję ci...

— Ale proszę panicza... zaczął Antoni.

— Zostaw mnie na Boga!... zostaw — zawołał niecierpliwie młodzieniec.

Sługa wyszedł.

Artur cierpiał w téj chwili okropnie. Łamał się i rozpadał jak gmach objęty piorunowym pożarem. Dziwnie rzewne uczucie, rozdzierający żal objął go po opowiadaniu Antoniego, na myśl o Poli... To młode dziewczę, dziecko prawie, wyrosło w oczach kochanka na bohaterkę idealną. Instynktem młodéj duszy odgadywał on wszystkie tortury tego dziewiczego serca, wszystkie krzyki zawiedzionéj miłości, całą potęgę tego uczucia, które draśnięte, doprowadziło ją aż do samobójstwa prawie... Czuł się niższym i upokorzonym... On dowiedziawszy się o nieszczęściu, wsiadł na konia, przyjechał i teraz siedzi w pokoju spokojnie... Mózg jego może myśleć i rozważać, serce nie pękło dotąd,... A ona? ona umiera z boleści, którą on znosi...

Jakiś wstyd go z tego powodu opanował, jakieś pragnienie rywalizacji... Ona kobieta... słabsza... więc organizm jéj uległ boleści... on mężczyzna więc żyje, ale jeżeli nie chce się w obec jéj cierpień rumienić, powinien dotrzymać jéj... i dać sobie samemu dowód, że umiał kochać, równie, jak ona gorąco...

Jeżeli powieść tę raczy czytać jaki młody lew stołeczny, uśmiechnie się tu zapewnie z ironją i powie:

— I autor głupi i bohater głupi także... Czego u djabła ten Artur tak znowu jęczy?... Gdy kochana, kochająca, a nieposiadana kobieta puści człowieka w trąbę, można oszaleć ze złości, zazdrości, ciekawości... Ale że pójdzie za mąż?... Mais c'est tant mieux!... Cóż pyszniejszego, jak romans z młodą mężatką?... Rywalowi rogi przyprawić... quel plaisir!... Głupi ci literaci!... czy oni naprawdę myślą, że ołtarz do szczęścia potrzebny?...

Prawda paniczu... ale pozwól się zapytać, czyś ty był kiedy konspiratorem, czyś pracował kiedy naprawdę i na serjo dla jakiéjś wielkiéj idei?... Czy noce twoje zapełnione były wielkiemi planami? czy myśl twa mocowała się w tytanicznych wysileniach nad rozwiązaniem zadań, które po ludzku zdają się nierozwiązalnemi? Czy czułeś kiedy, że jesteś naprawdę kołem w potężnéj machinie? czy miałeś jakiś cel nie samolubny, dla którego życie byłeś gotów poświęcić? Czyś wreszcie samochcąc, rozważnie, własnowolnie, dla tego celu stanął pod szubienicą, pierś otwartą odsłonił spokojnie przed tuzinem luf karabinowych, i stał tak nie chwilę, nie godzinę, ale tygodnie, miesiące, lata, z przekonaniem, że zawsze, lada chwila, sznurek może się zacisnąć na szyi, karabiny wpakować dwanaście kul w piersi twoje?...

Czy przechodziłeś to wszystko, młody panie?...

Nie?... więc ci się nie dziwię.

Inaczéj wiedziałbyś: że gdy w człowieku zapanuje jedna myśl wyższa i zacniejsza, gdy kto idzie ciągle po krawędzi grobu, w duszy tego każde uczucie nastraja się na ten ton wzniosły i poważny, jaki przepełnia jego istotę. Tak w pięknéj gotyckiéj katedrze każda kolumna wylatuje śmiało w niebo, każda rzeźba zdaje się zwiększać majestatyczne wrażenie ogółu.

To też lekkomyślna nadzieja, to też myśl ubliżająca Poli nawet nie przemknęła się przez umysł dawniéjszego Lowelasa. Widział położenie rzeczy jasno, w całéj groźnéj i nieubłaganéj nieodwołalności.

Albo Pola umrze, albo wyzdrowieje, i będzie żoną, niewolnicą, własnością innego..

Co z dwojga tego Artur byłby w téj chwili wolał? nie śmiał sam wyznać przed sobą... pierwsze podobno... Bądź co bądź, jedno czy drugie, ona dla niego stracona na zawsze!...

I znowu dwa fatalne wyrazy tętnić zaczęły w pulsach jego, drzeć w każdym nerwie i szarpać go. Serce mu się tak ścisnęło, że czuł czysto fizyczną boleść, nieznośną, irrytującą. Boleść ta była tak przykra, że Arturowi przyszła niezwalczona chęć uwolnienia się raz na zawsze od niéj. Spokoju!... spokoju!... jęczała ta słaba i złamana dusza, i Artur czuł to, co czuje żołnierz ranny śmiertelnie, zgorączkowany, gdy wśród strasznych katuszy woła o śmierć jak o łaskę największą. Pragnienie uwolnienia się od tego bólu, pragnienie wyjścia z rozpacznego położenia, egoistyczna żądza spokoju i wytchnienia, zabiła w młodym człowieku wszelką pamięć, wszelką myśl o innych obowiązkach.

Czyż kiedy szlachcic polski oprze się pierwszemu wrażeniu!

Polska, powstanie, walka z wrogiem... wszystko znikło... Wyraz stracona został przed nim tylko, i męczył go i palił, i dusił za gardło i serce rozdzierał... Od téj poczwary chciał uciec... choćby w objęcia grobu...

Artur wyjął z zapasa rewolwer, a twarz tak miał zawziętą, tak zagniewaną, jakby chciał zamordować wroga... I tak było. Ból jego i rozpacz były jego wrogiem, chciał ostatniego spróbować sposobu, chciał się przekonać, czy zdruzgotanie powłoki zniszczy tego prześladowcę, który się krył pod nią....

Ale w téj chwili drzwi się otworzyły i Antoni wpadł do pokoju, wołając:

— Panie!... paniczku!... i podnosząc do góry kartkę jakąś, rzucił się na kolana przy Arturze i pół-płacząc, pół śmiejąc się, ręce jego i kolana całował.

Arturowi w pierwszéj chwili rumieniec zapalił lica, instynktowy wstyd go objął w obec słabości własnéj, i gniew zawrzał, że mu ktoś przeszkodził w dokonaniu haniebnéj ucieczki. Ale twarz, ruchy, głos starego sługi, były tak wymowne, że młody pan jego zrozumiał, iż coś nadzwyczajnego zaszło. Przez myśl mu przeszło, czy to nie jest jaka wiadomość od Poli?... Widział ją bezprzytomną, wiedział, że jest cudzą żoną, a przecież... przypuszczał!... co?... Bóg wie...

Ale człowiek tonący, chwyta choćby trawkę słabą.

— Co ci się stało, mój Antoni?... co to znaczy?... zapytał nareszcie.

— Wojna — rozkaz — powstanie... na Moskala... panie... paniczku... jutro... bełkotał starzec, któremu radość i uniesienie głos w piersiach zapierały.

Na te słowa Artur porwał się, wyprostował, i zdziwiony, przerażony prawie spojrzał na starca, który odmłodniał i na miejscu ustać nie mógł. Wiadomość ta ocuciła młodzieńca i do przytomności wróciła... Przypomniał sobie, że prócz osobistéj boleści, jest coś innego jeszcze... Wiadomość ta jednak spadła na niego niespodziewanie. Wiedział on doskonale, że i teraz nie ma środków prawie żadnych, że wybuch powieść się nie może. I przyznać to trzeba, że jakkolwiek wieść ta była dlań osobiście dziwnie szczęśliwa, serce jednak obywatela i Polaka zadrżało obawą, nie o siebie, ale o świętą sprawę.

Nieszczęśliwe zaiste pokolenie!... Za słabe by własnym zaufać siłom, za chłodne by w cud uwierzyć, za szlachetne by iść za głosem egoizmu, za prozaiczne, żeby się w ideale rozkochać naiwnie, za poetyczne, żeby go się wyrzec zupełnie, na bój szło bez nadziei zwycięztwa, na ofiarę z wyrzutami sumienia.

— Co mówisz? — zawołał Artur — co? powstanie?... zkąd wiesz?

— Oto rozkaz, proszę Pana — rzekł szybko starzec, podając mu kartkę — a ekonom z Podlesia co go

przywiózł, powiada, że się zbroją wszędzie... że Warszawiaki jutro tu przyjdą.

Artur porwał kartkę, rozwinął i szybko przeczytał:

„Obywatel Artur Karliński, zbierze lud zbrojny, z nim stawi się wieczorem o godzinie 10 dnia 22 stycznia pod Mławą, i stanie na trakcie Warszawskim, w lesie Szydłowskim. Tam bliższe odbierze instrukcje. Bończa, dowódzca sił zbrojnych województwa Płockiego."

— Stało się — mruknął Artur — i zamyślił się.

— Dla czego panicz się nie cieszy — myślał stary weteran w duchu — ah! ci panowie!... kto ich zrozumie!... gotował się, sprzysięgał, jeździł... a jak przyszło co do czego, to smutny!... To, to kochanie tak go z nóg ścięło!... aleć wojna!... powinna go pocieszyć.

Antoni miał słuszność tak myśleć, i Artur miał rację nie weselić się wcale... tylko że Antoni miał słuszność bezwzględną, a Artur smucił się za późno.

Ale smutek ten trwał bardzo krótko.

Najprzód w tym wyrazie: stało się, było lekarstwo przeciw niepewności i wahaniu wszelkiemu. Stało się, a więc koniec rozprawom. Przyszedł dzień czynu, i cofnąć go było niemożliwą już rzeczą. Dla Artura zresztą osobiście, ten rozkaz był szczęściem prawdziwém. Wszak chwil temu kilka brał za broń samobójczą, powstanie dawało mu sposobność śmierci zaszczytnéj i dzielnéj.

Smutek też jego był ostatnim czynem myśliciela i statysty, a odtąd stanął: obywatel, żołnierz i szlachcic. Podniósł więc głowę, twarz jego była spokojna i poważna — ślad wielkiéj boleści nie zniknął ale złagodniał, zmiękł niejako, oko patrzało spokojnie, wyciągnął rękę do lokaja i ściskając dłoń jego, rzekł prawie wesoło:

— A więc jutro na Moskala, bracie — niech nam Bóg szczęści.

XII.

Smutnie się rozpoczął ów dzień pamiętny, przeklinany od tylu, rzewnie i z szacunkiem wspominany przez niewielu. Był to dzień pochmurny, dżdżysty i wietrzny. Ruch przecież był w niektórych wsiach wielki a w całém Królestwie czuć było, że się dzieje coś niezwykłego. Jak zwykle, tak i tym razem, tajemny niby wybuch przygotowywaliśmy z hałasem i dekoracjami jak turnieje jakie. Od wsi do wsi latali konni posłańcy, lub biegły bryczki napełnione młodzieżą w burkach i czapkach futrzanych, z dubeltówkami, pałaszami, kordelasami.

We wsiach przed karczmami stały gromady chłopów z twarzami zafrasowanemi, milczące lub szepcące z cicha... W kuźniach, które zwykle stoją blizko karczem, słychać było szczęk młotów i uwijającą się służbę dworską, a na dworze tu i owdzie leżały kupki kos i rękojeści do nich.

W miasteczkach sprzysiężeni mieszczanie pili na odwagę po szynkach i piwiarniach i odgrażali się głośno, że nim słońce wejdzie ani kłaka z Moskali się nie zostanie.

Bracia mojżeszowego wyznania drżeli po trochu ze strachu i trzymali się zupełnie neutralnie. Moskale drżeli więcéj jeszcze od nich przed tém niebezpieczeństwem niewidoméin, nieokreśloném, nieznaném, które dopiero wyjść miało z czarnych osłon nocy.

W Karlinie więcéj jeszcze było ruchu jak gdzie indziéj. Artur był jednym z tych niewielu, którzy naprawdę gotowali się do powstania i walki.

Korzystano z każdéj sposobności, żeby broń i amunicję ściągać powoli, a konie do powozu nawet takie tylko kupowano, które pod jeźdzca iść mogły. Tylko, że i tutaj natura szlachecka Artura popełniała niepraktyczności. Zamiast gromadzić broń zwyczajną i tanią, Artur skupował i przepłacał amerykańskie rewolwerowe sztucery; zamiast podjezdkami napełniać stajnię, gromadził w niéj bachmaty.

Traktowanie rzeczy obywatelskich po amatorsku, po konfederacku, przebijało tu wyraźnie. Gdyby jednak wszędzie były takie zapasy i gotowość jak w Karlinie, pierwszy wybuch byłby bez kwestji przypomniał trochę dawne konfederacje, ale byłby wypadł inaczéj, jak się to stało.

Najciekawszą, najsympatyczniejszą była w tym dniu postać Antoniego. Myśl walki blizkiéj z wrogiem odmłodniła starego wiarusa. Chwili nie mógł pozostać w miejscu. Od stajni do dworu, od dworu do kuźni, od kuźni do karczmy stary biegał ciągle. Tam zaglądał, czy konie się pasą i próbował po raz setny popręgów, w kuźni obliczał kosy i kule, w karczmie słuchał, co chłopi mówią, we dworze układał broń w wielkiéj sali i rzucał okiem na kilku chłopaków kręcących ładunki i zdawało się, że o wszystkiem zapomniał, a tylko od czasu do czasu spoglądał na młodego panicza z uśmiechem i zadowolnieniem.

Bo panicz krzątał się także, o wszystko się pytał, wszystko własnemi dotykał rękami, ożywił się i rozruszał. Antoni był kontent z panicza.

Po południu Artur zamknął się w swoim pokoju. Szedł on, jak sądził, na śmierć prawie pewną, i zbudził się w nim człowiek, marzyciel, kochanek. Nie lękał się, bo on się nie lękał nigdy, tem bardziéj dzisiaj, gdy był tak nieszczęśliwym; owszém, czuł to, co czuje koń ukraiński, gdy step ujrzy przed sobą. Wychował się i wyrósł w marzeniach o świętéj wojnie... Chłodna rachuba kazała mu życzyć, ażeby wojna ta się odwlekła ale gdy raz stała się faktem, przyjmował ją z radością, tę epopeję marzoną w młodości.

Jednakże tylko głupcy lub fanfarony śmieją się nad grobem. Artur czuł uroczystość téj chwili. Chciał się pożegnać z pamiątkami życia, z przeszłością i przyszłością, wyjął fotografię Polci, postawił pod portretem matki i ukląkł przed obudwoma.

Długo się patrzył w te ukochane, stracone dla niego postacie, a w sercu jego ani żalu, ani rozpaczy już nie było. Czuł, że wypełnia obowiązek; czuł, że godny jest w téj chwili jednéj i drugiéj i zdawało mu się, że oba portrety żegnają go łzawym uśmiechem. Potém wiedziony tém naiwném uczuciem, które tłómaczy wiarę kobiet w obrazy, podniósł się, na malowanéj ręce matki złożył cichy pocałunek, Poli fotografię do ust przycisnął, westchnął raz jeszcze, potarł czoło ręką i powstał mężem ze stali, rycerzem.

Jakżeby się ironicznie rozśmiał Henryk, gdyby był całą tę cichą scenę zobaczył! I rzeczywiście, gdy mordercza walka grzmi ponuro, łzawić się przed portretami; gdy stuletnie kajdany pryskają w kawałki, myśleć o kochankach, to słabość, jednakże...

Ale dość o tém.

Mrok padał, godzina czynu zbliżała się szybko. Artur zaczął się ubierać na wojnę.

Ubierać na wojnę?... A tak... nie inaczéj. Od czegoż Artur był szlachcicem i wnukiem karmazynów. Któryż karmazyn walczył inaczéj jak w delji? A powiedzcie mi panowie bracia, czy który z nas, z prawdziwéj szlachty, ja, ty, on, zdolny jest wyjść na bój, na szubienicę, na tortury, w zwyczajnym kubraku domowym?...

Nie... nam jak ojcom naszym potrzeba dekoracji, kostiumów, blasku i hałasu.

Artur miał smak wytworny, więc i ubiór jego wojenny nie był krzyczący, ale był to ubiór, mimo swéj skromności i niby prostoty wyrachowanéj, malowniczy i obliczony może mimowoli na efekt. Prawda, że gdy stanął w tych grubych, wysokich butach, w téj sukmanie krojem chłopskim zrobionéj, ale z cienkiego nieprzemakalnego sukna, podbitéj baranami krymskiemi i do-

skonale leżącéj, w rogatywce białéj z czarnym barankiem i białą kitką, gdy burkę z fantazją na ramię zarzucił, damasceńską szablę do boku przypiął i dwa angielskie rewolwery za pas zasadził, doprawdy, że w tym stroju było mu prześlicznie.

Ale Henryk byłby szydził i z tego, byłby utrzymywał, że po śmierci Joachima Murata tylko szlachcic polski ma humor kostiumowania się przed walką, byłby zacytował ów wiersz gryzący:

„Pawiem narodów byłaś i papugą...“

Henryka jednak nie było na szczęście wtedy w Karlinie, a Antoni z uwielbieniem na panicza spoglądał. Stary chciał się także w swój rewolucyjny mundur ułański przestroić, ale przy próbie mundur ten rozlatywał się w kawałki i z żalem poprzestać musiał na węgierskim kożuchu.

Szósta uderzyła, a przed ósmą wyruszyć należało. Artur ostatnie spojrzenie rzucił na portret matki, dłonią przycisnął do serca fotografię Polci i wyszedł do wielkiéj sali obwieszonéj portretami.

W sali téj było jeszcze pusto, tylko na podłodze poukładane w porządku leżały fuzje, karabiny, kosy, ładownice, gromada kożuchów i czapek futrzanych, stosy ładunków gotowych. Na stole dużym okrągłym stały butelki z wódką i piwem, półmiski z wędzoném mięsem i chleba kilkadziesiąt bochenków. Dwa świeczniki bardzo niedostatecznie oświecały ten pokój ogromny. Z pół cienia, ze wszystkich ścian czterech zdawali się wychylać jacyś ludzie, o twarzach poważnych z wąsami i bez wąsów, w perukach i z ogoloną głową, w deljach i w zbrojach. Gdzieniegdzie uśmiechała się piękna twarz niewieścia.

Na Artura nigdy jeszcze te rodzinne portrety nie zrobiły takiego, jak teraz wrażenia. Zdjął czapkę, podniósł czoło i obejrzał się spokojnie, może dumnie trochę, po tych twarzach pradziadów. Zdawało mu się, że dziś patrzą na niego łagodniéj, przyjaźniéj jak zwykle... on oka nie spuszczał, bo czuł, że im dziś równy, że dziś wolny jak oni z szablą przy boku, że może wyższy od nich, bo ginie za ich winy. — W téj chwili czuł się tak silnym, jakby błogosławieństwo umarłych pokoleń spływało na jego czoło.

Drzwi się od wielkiéj sieni otworzyły i sala zaczęła się napełniać. Artur kazał zwołać wszystkich bez wyjątku włościan z obszernego majątku z wyjątkiem Niemców kolonistów, na których nie można było liczyć, i z których jeden, denuncjacją swoją wywołał owo fatalne aresztowanie Antoniego. Chłopi się stawili ale nie wszyscy. Połowa ich prawie pochowała się pod dachy, pouciekała do lasów. Działo się to głównie w folwarkach oddalonych, gdzie bezpośredni wpływ dziedzica mniéj się czuć dawał. Ciemny, zrażony przeszłością lud, podejrzliwy bo nieszczęśliwy, tworzył najrozmaitsze przypuszczenia. Zresztą wielu kryło się przez prostą ostrożność, która u chłopa polskiego jest zarazem wadą i przymiotem wrodzonym i naturalnym.

W miarę napełniania sali można było się przekonać, że i między tą warstwą narodu są kasty i nierówności. Służba dworska, ekonomowie, pisarze, kucharze, furmani, leśniczowie, strzelcy, jakby umówieni, ugrupowali się na prawo, a gromadka ich surdutowa zwiększyła się kilku rzemieślnikami. Między chłopstwem nawet można było odróżnić kupkę gospodarzy ubranych w granatowe sukmany, od ogrodników i parobków w kożuchach lub podartych opończach rozmaitego kroju i koloru.

Po za tym tłumem Artur mógł dostrzedz sień przepełnioną kobietami, które odważniejsze od mężów przyszły tutaj, raz, by ich w przypuszczalném niebezpieczeństwie ratować, powtóre przez prostą ciekawość niewieścią.

Nareszcie ustały tupania i chrząkania, hałas się uciszył, i tylko lekki szmer falował po nad tłumem milczącym. A szmeru tego były powodem owe kobiety, które wspinając się na palcach admirowały ubiór Artura.

— Patrzajta jeno dziewuchy, — mówiła jedna — jaki to nas panic ślicny dzisiaj...

— A! bo on ma być jednorałem pono — odpowiedziała druga.

I uwagi półgłośne i cmokania i tłumione wykrzyki, jak szmer pszczół rojących się bujał nad głowami pstro ustrojonemi.

Ale w sali była cisza. Artur spojrzał po tłumie i zobaczył, że kilku najzamożniejszych gospodarzy nie ma.

— A gdzież Roskosz, Biraga, Wojciech Godziemba? rzekł, obracając się w stronę, gdzie służba stała.

— Biraga chory, proszę Pana — odezwał się ekonom odnośnego folwarku — a tamci gdzieś poszli.

— Tém gorzéj dla nich — mruknął półgłosem Artur.

Chłopi spojrzeli po sobie, bo te wyrazy zdawały im się wyrokiem śmierci dla nieobecnych. A ten i ów powtórzył:

— A widzisz!... tém gorzéj dla nich, mój Boże, mój Boże — i wzdychali.

Artur oparł się ręką o stół i począł mówić. Sądził on, że od trafności słów jego zależy czyn tych ludzi. Urodził się, wychował wśród nich i zdawało mu się, że wie jak do nich przemawiać, był sam wzruszony i pełen zapału, a o chwili téj marzył nieraz z rozkosznem serca biciem, więc mówił dobrze.

Nie wdawał się on w frazesa o miłości ojczyzny, nie rozszerzał się nad prawami człowieka i narodu do wolności, ale brał punkt po punkcie, sprawy życiowe, malował uciski moskiewskie, uciemiężanie religji, sprofanowanie kościołów, podatki. W porywających wyrazach przypomniał dzień poboru do wojska i los rekrutów, a słowa jego płonęły wtedy ogniem, iskrzały gniewem i zemstą... Przy końcu tego wstępu, w sieni słychać było łkania i płacz kobiecy, i naiwne wykrzykniki.

— O rety retecki... oj prawda, prawda!... lub — o Boze miłosierny!...

Wydawały je matki i żony zabranych w rekruty... Z koła parobczaków wychodziły głębokie westchnienia.

Daléj Artur odczytał dekret rządu narodowego uwłaszczający chłopów, a zbliżając się do gospodarzy, tłomaczył go im i wyjaśniał, że odtąd są już jego sąsiadami tylko. Oni mu się do kolan kłaniali, przez pół wierząc obietnicom, on ich za rękę ściskał. Potém cofnął się nieco, i kończąc silnym zawołał głosem:

— A teraz gdy wiecie, o co idzie, kto kocha religję, ziemię, która go żywi, dzieci, które Moskal na pastwę porywa, kto mnie dobrze życzy, niech idzie za mną, na Moskala!... Niech żyje Polska!...

— Niech żyje!... w piekło za paniczem! .. krzyknął stary Antoni a za nim cała gromadka służby.

— Niech żyje!... odezwało się parę głosów chłopskich między parobkami.

Artura twarz powlekła się smutkiem. Lud milczał... a więc wszystko było farsą... Marzyciel i szlachcic!... jemu się zdawało, że dość, łaskawie przemawiać do chłopa, dość dbać o jego potrzeby, dość potém ubrać się niby po chłopsku i mówkę palnąć, by ten chłop rzucił się w ogień. Ale jakżeż on ma być bohaterem, kiedy go nikt nie nauczył kochać tego, za co ma ginąć, kiedy on nie wie nawet dobrze, co to jest i o co idzie?

Po chwilowém bolesném oczekiwaniu, Artur postąpił kilka kroków, stanął wśród gromadki gospodarzy i kładąc dłoń na ramieniu młodego i silnego chłopa, rzekł:

— No, a ty Bartek, nie pójdziesz na Moskala?...

Chłop się schylił do kolan panicza i odpowiedział śmiało:

— A dyć jasny pan dał półwłóczek na dziedzictwo, toć go muszę obrabiać, boby leżał odłogiem, jakby ja poszedł na wojnę...

Logika była nieprzeparta, a nieodłączny od własności konserwatyzm okazał się tutaj w téj saméj sile, w jakiéj w wyższych stopniuje się sferach.

Artur nie próbował już zachęcać uwłaszczonych, tylko dodał:

— To przynajmniéj myślcie, żebyśmy jeść co mieli!...

— No, a wy? rzekł, wciskając się w grupę parobków.

Tu więcéj było amatorów. Ten i ów kłaniał się i obiecywał bić psie wiary...

— No to daléj bracia — mówił Artur — na drugą stronę sali!... Antoni!... zawołał — masz twoich zuchów... napaś ich i broń rozdaj... a jeżeli który zostawia krewnych, niech będzie spokojny... pan Kuliński (tak się nazywał rządzca) nie da im krzywdy zrobić!...

W téj chwili od gromady gospodarzy odezwał się jeden przystojny i młody, ale o twarzy bladéj i schylając się do kolan Artura, rzekł:

— To i ja bym poszedł z Wielmożnym Panem...

— Ależ ty masz żonę... rzekł Artur.

— At Wielmożny Panie... zbisiła mi się z Moskalem; może tego hycla gdzie przydybię...

A w tych prostych wyrazach, mieściło się całe piekło zemsty.

Artura poetyczna strona drgnęła... miał oto przed sobą dramat cały. Sam ochotnika przeprowadził na drugą stronę.

Duch w Artura wstępować zaczął. Wraz ze służbą dworską ochotników było blizko czterdziestu. Broni było aż zanadto, tém bardziéj, że chłopi woleli kosy niż fuzje, z któremi obchodzić się nie umieli.

Gdyby każdy szlachcic stósunkowo dostarczył tyle!... ale to była illuzja najnieprawdopodobniejsza ze wszystkich. Nie wielu rzuciło się w dniu owym, a i z tych co występowali, mało który zrobił to, co Artur. Inni spełniając obowiązek po polsku, po szlachecku, połowicznie, z zapewnieniem furtki za sobą, urządzali się tak, żeby w razie niepowodzenia módz wrócić bez szkody. Chcieli się bić, ale nie chcieli się kompromitować! wyjeżdżali więc na punkt zborny sami, cichaczem, w tajemnicy, z bronią ukrytą, okryci cieniami dżdżystego wieczora przed okiem własnych włościan. Nie każdy też był takim jak Artur panem, wielu lękało się ludzi, rzadko który byłby się ośmielił stanąć przed tłumem i wołać go do tego, co się prawnie nazywało buntem. W dobrach, zostających przez wieki w ręku jednéj rodziny, zwłaszczą jeżeli dziedzice mieszkali na wsi i nie byli okrutnikami, musiał się wyrobić pewien stosunek patrjarchalny, rodzinny, przyjazny między dworem i chatą. Większa część n. p. ochotników Artura byli towarzyszami jego zabaw, ten był synem jego niańki, tamten kucharki, ten z paniczem grywał w kręgle, tamten latawca z nim puszczał, ów ścigał się z nim oklep na źrebakach.

Późniejsze lata zerwały te przyjazne stosunki, ale wspomnienia dziecinne tkwiły w tych sercach, w których zazdrości i kwasów socjalnych niema jeszcze dotąd. A jednak mamyż prawdę powiedzieć?... Chłopi kochali Artura, ale go się nie bali, a raczéj nie szanowali go tym szacunkiem ślepym, jaki czuć powinien żołnierz dla swego wodza. Widzieli go smutnym i wesołym, gniewnym i łagodnym. Wiedzieli, że traci pieniądze i hula, przypatrywali się nieraz orgiom trwającym dnie i noce... i uważali go za zwyczajnego człowieka. Nie imponował im...

I teraz Artur niezręcznie się wziął do nich. Postępował jak marzyciel, jak poeta... Na jego miejscu Henryk, choć dziecię ludu, nie byłby deklamował, nie byłby przemawiał do serc tego ludu językiem dla niego niezrozumiałym. Byłby kazał, a w tym rozkazie byłaby taka siła i groza, że zmagnetyzowani nią chłopi, byliby poszli bez wyjątku wszyscy. Bo Henryk był realista i wiedział, że tłumy tylko grozą się porywa.

Darmo!... przyzwyczailiśmy lud nasz do jarzma i posłuszeństwa, a w stanowczéj chwili niepraktyczność nasza kazała nam doń przemawiać jak do ludzi wolnych i wykształconych.

W godzinę niespełna, ochotnicy napaszeni, ubrani, uzbrojeni, stali już w szeregach przed dworem, oświeceni czerwono ogniem rozpalonym na dziedzińcu, otoczeni tłumem ludu, który im się przypatrywał milczący, zdziwiony, ale który mimo wiedzy może błogosławił w duchu odważnéj gromadce.

Z tłumu kobiet tylko, słychać było czasem płacz i łkanie. Nareszcie zaszły wozy czterokonne drabne, wyładowane chlebem, wódką i mięsiwem; przyprowadzono konie posiodłane, i wśród gwaru na komendę Antoniego i Artura, kosynierzy usadowili się na wozach wraz ze strzelcami, Artur, Antoni i kilku lepszych jeźdźców wsiadło na konie, płacz wśród kobiet się zwiększył, twarze chłopów się pomarszczyły, Artur zawołał: „Ruszaj w imię Boga!“ i wyprawa znikła w cieniach nocy, a tylko turkot i szczęk kos słychać było czas jakiś...

— Oto i bieda... rzekł stary gospodarz do drugiego.

— Juścić, gdyby tych psia-wiarów wygnali, toby człek mniéj płacił i rekruta by nie dawał — odezwał się drugi.

— At głupiś!... co oni im tam zrobią... Cesas taki mocny...

— Ej!... Bóg to racy wiedzieć co się tam stanie!... odezwał się trzeci. Moze Francuzy psyjdą z Napolionem abo Galibardi.

— Oj! tobyśwa bili dziegciazy!...

— Ba!... ba!... ma sie wiedzieć... ale tak, na co sie to zda!...

— Niech ich Matka Boska prowadzi — dodał inny.

— Ojce Piotse — przemówił znowu któryś — a wiezyta wy w te darowiznę?...

— Hm!... kto to wie?... Moze to i prawda, bo nas panic nie lubi łgać... jak co obieca to święte...

— Bo to mnie gadał — dodał ten sam — ten wójt, co go zabili, ze cesas ma nam ślacheckie grunta rozdać...

— Cichobyś był głupi... co od Moskala dostanies, to i z djabłem się mozes podzielić.

Tak rozprawiali wracający do domu gospodarze, a oddział kłusem posuwał się ku miejscu przeznaczenia. Z początku gwar był na wozach i wesołości dosyć. Jeszcze słowa Artura brzmiały w uszach ochotników. Ale powoli milczenie zaczęło ich obejmować, deszcz i wiatr bił po twarzach i chłodził głowy. Ten i ów zaczął się zastanawiać nad wyprawą, tego i owego dreszcz przeszedł na myśl o blizkiéj walce, żal za rodziną i domem.

Zaraz w pierwszym lesie, gdy konni wysunęli się naprzód, a wozy po wązkiéj drodze powoli pod górę się drapały, trzech najbojaźliwszych parobczaków zsunęło się z wozu i utonęli w gęstwinie.

Za lasem spostrzegł to Artur i zaczął gorąco napominać pozostałych i malować ohydę dezercji. Gdy skończył, Antoni stanął przy wozach i zawołał:

— Słuchajta!... wiecie wy, co czeka ucikinierów?... Oto kula w łeb!... Jak który zesunie się z wozu, to nim nogą ziemi dotknie, djabli go wezmą!... Rozumiecie?...

Kilka słów Antoniego więcéj pomogły, jak przemowa Artura; jeszcze kwadransa brakło do 10éj, gdy oddział przybył na miejsce.

Artur wozy ustawił na szerokim gościńcu wśród lasu, strzelców rozstawił jako pikiety, a sam wyjechał na wzgórze. Ze wzgórza tego widać było na płaszczyźnie rozrzucone światełka. Była to Mława.

Artur pierwszy raz był w podobném położeniu w przedchwilę boju... Serce mu biło, nie ze strachu

przecież, ale z niecierpliwości. Podjechał pod ostatnie domy miasteczka, wstrzymał konia, wyciągnął szyję i wpatrzył się w ciemność.

Wątpić można, czy zrozpaczony ten wczoraj człowiek, myślał w téj chwili o czém innem, jak o boju i walce.

Cisza była w mieście i na polu, Artur wrócił powoli do swoich, i wtedy dopiero wspomnienie Poli wyłoniło się w ciemności...

— Co się z nią robi?...

I westchnął... a gdyby w téj chwili bój się rozpoczął, byłby zginął z pewnością. Ale miał rozkaz czekać na nowe instrukcje — czekał więc.

Czekano długo... jedenasta, dwunasta uderzyła na zegarze ratuszowym w Mławie a nikt się nie zjawił, żaden głos ani strzał nie padał. Artur uczuwać zaczął niepokój w duszy. Czy go nie zwiedziono?... Czy może on sam dziś wystąpił tylko?... o niego mniejsza, ale tych ludzi, których na zgubę naraził... jak im tę krzywdę wynagrodzi?

W tém raptem zagrzmiał głos starego Antoniego:

— Kto idzie?...

— Swój!... odpowiedział głos inny — gdzie wasz naczelnik?

Artur pospieszył w miejsce, zkąd głosy się odzywały. W pewnéj odległości od pikiety, przy któréj stał Antoni z rewolwerem w ręku, majaczyła na ciemni nocnéj jakaś postać na koniu.

— Od kogo i z czém?... zapytał Artur.

— Od wojskowego naczelnika powiatu.

Artur wyszedł i posunął się ku konnemu. Ostrożny Antoni szepnął mu wprawdzie: „Panie! może to zdrada!“ ale młody człowiek poszedł daléj.

— Uderzyć na miasto... nieprawda?... zapytał niecierpliwie, zbliżając się do posłańca.

— Nie!... rozejść się...

Artur się cofnął jak piorunem rażony.

— Co?... co?...

— Naczelnik kazał się rozejść... albo iść w lasy... jak chcecie.

— Jakto? więc nie ma powstania?

— Jest... ale mało kto stawił się na miejsce... Moskale wiedzą o wszystkiém i strzegą się... Naczelnik zobaczywszy to, kazał się rozejść... a kto wracać nie może, niech idzie w lasy!...

— Ależ to wszystko stracone!... Gdzie naczelnik?...

— Odjechał ze sztabem na nocleg... jest bardzo zmęczony...

Ból, rozpacz, wściekłość przejęły Artura... Ten odjazd, to lekceważenie oburzyło go.

— To zdrada! — zawołał.

— Niedołęztwo raczéj... Radzę iść w lasy nadgraniczne... żegnam!...

I nieznajomy człowiek wręczył mu kartkę od naczelnika i popędził napowrót.

Artur zmiął kartkę w ręku, zamyślił się głęboko a boleśnie. Czuł on, że to fiasko fatalny wpływ wywrze na dalszy bieg sprawy. W takich wybuchach chybienie pierwszego rzutu paraliżuje wszystko, i słabszéj stronie odbiera jedyne korzyści wypływające z niespodzianki, inicjatywy, zaczepki, przestrachu przeciwnika. Jeżeli zresztą ta pierwsza chwila nie rozbudziła ducha, cóż będzie daléj?

Bolała go także konieczność skłamania, boć nie mógł swym ludziom całéj powiedzieć prawdy, nie mógł im powiedzieć, że z całego powiatu oni jedni tylko prawie wystąpili.

Ale namyślać się nie było czasu.

— Chodź Antoni, rzekł przechodząc koło niego, rozbudź ludzi...

Za chwilę wszystko było na nogach.

Artur stanął wśród téj ruszającéj się gromadki i rzekł:

— Odebrałem nowy rozkaz, bracia — nie będziemy dobywać Mławy, bo Moskale zapowiedzieli, że spalą miasto za pierwszym strzałem; pójdziemy w lasy do obozu... Zbierać się i na wozy!

Wiadomość ta w milczeniu przyjętą została przez ochotników, i Bóg wie, czy niejeden z nich nie z radością dowiedział się o odłożeniu walki... Serca im biły w oczekiwaniu i niepokoju, a usta modlitwy szeptały... Oddział więc przyjął wiadomość odwrotu bez szemrania. Tylko Antoni się skrzywił i mruknął:

— Do djabła z taką robotą... wielkie rzeczy choćby spalili taką dziurę...

Ale protestacja skończyła się na tém, i w pół godziny gromadka ta ciągnęła znów lasem okrążając miasto i dążąc na północ-zachód.

Takim był z rzadkiemi wyjątkami prawie wszędzie pierwszy dzień powstania.

XIII.

W Staréj wsi, po wyjeździe Artura Piotrowicz dostał ataku apoplektycznego, który jednak żadnych złych następstw nie pociągnął za sobą. Puszczenie krwi wystarczyło, a na trzeci dzień exmecenas się podniósł z wściekłością w sercu, z miłością własną zranioną do żywego.

Żona pytała go się, dla czego on tyle o Karlińskim mówił w czasie snów gorączkowych, a na to zapytanie mąż podniósł oczy, i długo badawczo patrzał się na nią. Spojrzenie to przekonało go, że pani Zofia nie wie o niczém.

— Mówiłem o Karlińskim? — dodał jednak — być może, śnił mi się ciągle... czy on tu nie był w ciągu mojéj choroby?

— Kto... Karliński?... Ah, niechże Bóg broni! toby dobiło Polcię... Nieszczęście się wielkie stało — dodała wzdychając kobieta — ale Piotrowicz nie dosłyszał, lub nie chciał w tym kierunku prowadzić rozmowy. Zastanawiał on się nad tém, jakim sposobem Artur wszedł do niego niewidziany przez nikogo, nie próbując zobaczyć się z kobietami.

— Czyby to sen był? — myślał — a może duch jego?...

Bo najwięksi cynicy są zwykle zabobonniejsi, jak stare dewotki. Nasz exmecenas n. p. nigdyby w piątek niczego nie rozpoczął.

— No, a Polcia jak się ma?

— Od trzech dni Bogu dzięki lepiéj trochę... ale zawsze smutna bardzo... ja nie wiem, co to będzie.

— Moja kochana! — przerwał gwałtownie mąż, — widzisz że ledwie żyję, a męczysz mnie jakiemiś wymówkami... Ja zrobiłem, com mógł... któż winien, żeś tak córkę wychowała? Czy ją kto zmuszał? Ma męża, trochę mazgaja może, ale poczciwego, niech go szanuje... a te choroby i żale, to komedje i kaprysy...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.